NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 2 listopada 1907. Nr. 44.

Wydanie zbrodniarki.

(Treść na str. 2).



Treść numeru: Najmłodszy adwokat. — Kandydaci do „Białego Domu". — Skon niemieckiego kardynała. — Strejki we Włoszech. — Rekonstrukcya gabinetu. — Nowy poseł. — Krwawy dramat w Warszawie. — Porwanie dziecka. — Samochodem do bieguna. — Wesoła małpa. — O tron badeński. — Nadużycia w koloniach francuskich. — Artyści japońscy w Europie. — Cenne wykopalisko. — **Bagno pruskie.** — Nowe małżeństwo Wölflinga. — Śmiertelny pojedynek dwóch kobiet. — Szkoła dla policyi. — Obrabowanie banku w Krakowie i t. d. i t. d.



Święto umarłych.

Przyroda kona... Ostatnim oddechem
Strąca z półsennych drzew ostatnie liście
I drży w powietrzu dawnych wspomnień echem,
To znów modlitwę szepce uroczyście —
Czasem na chwilę z konania się budzi,
Jesiennem słońcem żegna świat i ludzi...

I w duszy ludzkiej coś się rwie i zmienia
I serce święci dziś ponure święto —
Dawne porywy, zamarłe wspomnienia
Łączą się w akord grobowem „memento“,
Niby upiory lecące na cmentarz
Z ponurą pieśnią: „Czy wiesz, czy pamiętasz?!“

A w tym dniu smutku, dniu święta żałoby,
Kiedy ostatnie gwiazdy już pogasną,
Ciągną pobożni na cmentarz, na groby,
Aby podumać nad przyszłością własną
I łzę gorącą uronić z powieki,
Na grób tych, co już odeszli na wieki!

W powodzi świateł lśnią groby niektóre
I kwieciem zdobne marmurowe płyty
I kolumnady biegną śmiało w górę,
A na nich złoty napis jest wyryty,
Jakby ten, który spoczął tu w tej trumnie
Jeszcze z pod ziemi chciał głowę wznieść dumnie.

Inne znów skromne, tak jak skromnem było
Życie tych, którzy spoczęli w tym grobie,
Jakby po śmierci nie było im miło
Słuchać słów pochwał potomnych — o sobie —
Tylko wyryte na kamieniu imię
Z prośbą: „Zmów pacierz pobożny pielgrzymie!“

Lecz chodźmy dalej wśród umarłych miasta:
Tu smętny pokój i mrok całkowity,
Na żadnym grobie cyprys tu nie wzrasta,
Nie błyszczą złotem marmurowe płyty,
Tylko gdzieniegdzie światełko się pali,
Lub kwiat rzucony przez tych, co zostali.

Przy grobie dziatwy wybladłej gromadka,
Lub ze spuszczoną głową człek schylony —
Pewnie sieroty, którym zmarła matka,
Lub mąż po stracie ukochanej żony.
I ślą modlitwę usłyszaną w Niebie:
„Nie możesz wrócić — to weź nas do siebie!...“

Ach! wymowniejsza niż pomniki z glazu,
Ten żywy pomnik, tej dziatwy gromada!
Z niemi (wieść niesie) — z Bożego rozkazu
Anioł niebieski przy grobie usiada
I razem z niemi odmawia pacierze
I ich modlitwy przed Tron Boga bierze!

Lecz pójdźmy dalej!... Zapadła mogiła,
Bez światła, kwiatów, ach! nawet bez krzyża!
Nikt nie wie, kogo tu ziemia pokryła,
Nikt się do niego nawet nie przybliża,
Choć może cierpiał wśród życia Gehenny,
Ten, co tu znalazł swój grób bezimienny!

Lecz Bóg o wszystkich zarówno pamięta,
I w tajemnice najskrytszych serc wnika!
Ten, który leśne policzył ptaszęta,
Ten — nie zapomni także i grzesznika!
Nie sądź umarłych — człecze! prochu szary!
Bo łaska Boska i dobroć — bez miary!...

K. K.

Wydanie zbrodniarki.

(Do illustracyi tytułowej).

Sensacyjna sprawa tragicznego skonu hr. Kamarowskiego, który przed paru tygodniami legł od kuli mordercy w Wenecyi, przypomniała się znowu opinii publicznej. Oto właściwa winowajczyni, piękna madame Tarnowska, ów zły duch adwokata Prilukowa i młodego Naumowa, została po załatwieniu formalności proceduralnych wydaną przez rząd austryacki sądom włoskim dla ukarania.

Jak wiadomo, uwięzienie uroczej zbrodniarki nastąpiło we Wiedniu i tam ona dotąd przebywała. Za pośrednictwem swego obrońcy starała się usilnie o to, by rząd austryacki wydał ją Rosyi, liczyła bowiem, że dzięki znajomościom wśród szeregu wybitnych osobistości tamtejszych, uda się jej wykręcić od odpowiedzialności za swój straszny czyn. Rachuby te jednak zawiodły, gdyż wydano ją sądom włoskim.



Artyści japońscy w Europie: Sławna artystka japońska, pani Sadayacco.

Zdołała jednak wyprosić u władz więziennych tylko pewne ulgi w czasie pobytu we Wiedniu, a następnie w drodze do Włoch. Pozwolono jej mianowicie użyć klasy II w pociągu, a do towarzystwa dodano jej nie żandarma, lecz cywilnych detektywów. W dzień później wydano sądom włoskim współoskarżonego Tarnowskiej, adwokata Prilukowa, oraz służącą jej, Perrierównę.

Rycina na stronie tytułowej przedstawia właśnie chwilę, gdy Tarnowska odziana w elegancką toaletę, wsiada do powozu, by udać się na dworzec kolejowy.

Artyści japońscy w Europie.

Do Europy znowu zjechali artyści japońscy, których sława rozbrzmiewa już po świecie całym. Po raz pierwszy zawitali do nas w r. 1900, podczas wystawy paryskiej i od razu zadziwili wszystkich mistrzowską interpretacyą, przedstawianych na deskach teatralnych postaci. Na czoło trupy japońskiej wybiła się swą istotnie niepospolitą grą Sadayacco i małżonek jej Kawakami. Pan Kawakami w ojczyźnie swej jął się początkowo roli polityka, która jednakże nie przyniosła mu oczekiwanych laurów, wkrótce też zamienił ją na rolę artysty dramatycznego, a widocznie iż uczynił to zgodnie ze swem powołaniem, bo rezultaty tej zmiany ról przeszły najbujniejsze oczekiwania zamorskiego artysty. Stał się wraz z swą małżonką przedstawicielem japońskiej sztuki dramatycznej. Pan Kawakami już od lat dziesięciu jest właścicielem i dyrektorem teatru w Tokio, a jednocześnie kierownikiem szkoły dramatycznej. Za zadanie postawił sobie artysta japoński podniesienie sztuki ojczystej na wyżyny europejskie. On pierwszy złożył trupę mięszaną z kobiet i mężczyzn, do tej pory bowiem w Japonii istniały towarzystwa teatralne, złożone albo z samych mężczyzn, albo też z samych kobiet. Również Kawakami pierwszy wprowadził do repertuaru teatrów japońskich dzieła autorów europejskich. W ojczyźnie swej p. Kawakami i pani Sadayacco nie znaleźli uznania. Japończycy, przyzwyczajeni do krwawych dramatów, w których morderstwa następują jedne po drugich, gdzie krew ofiar wytryska strumieniami, barwiąc na czerwono twarze i ubrania artystów, nie mogli rozkoszować się subtelną grą pani Sadayacco.



Artyści japońscy w Europie: Dyrektor teatru japońskiego w Tokio, Kawakami, mąż Sadayacco.

Obecna podróż sławnych małżonków do Europy i zamieszkanie ich w Paryżu niema na celu tournée artystycznego, lecz tylko wydoskonalenie się w sztuce dramatycznej na wzorach artystów paryskich. Pan Kurino, ambasador japoński w Paryżu, rodaków swoich trzyma w swej szczególnej opiece, sam jest bowiem gorącym melomanem teatralnym. Jak słychać Kawakami i Sadayacco mają zagrać w Paryżu raz jeden tylko i to na wielkiem przyjęciu, jakie co pewien czas wydaje przedstawiciel Japonii we Francyi.

Cenne wykopalisko.

U stóp wschodniego Beskidu, w prześlicznej, górzystej okolicy Nadwórny, znaleziono przed kilku dniami wykopalisko niezmiernie cenne, bo szkie-



Cenne wykopalisko: Skóra, kły i część kości przedpotopowego słonia, wykopane w Staruni.

let słonia przedpotopowego i to szkielet, który zachowany jest bardzo dobrze, mimo iż wedle twierdzenia uczonych, leżał pod powierzchnią ziemi z górą dwa miliony lat.

Miejscowość, w której to wykopalisko z przedpotopowych czasów znaleziono, nazywa się Starunią. Jest tam od niedawna kopalnia wosku ziemnego, własność Niemca z Hamburga, Kampego. Przy sposobności robót kopalnianych natrafiono na szczątki olbrzymiego zwierzęcia, pogrążone w warstwie wosku, a pod sinym, mioceńskim iłem. Zrazu nie przypuszczano, iż wykopalisko to ma tak doniosłą wartość naukową i robotnicy dość bezceremonialnie obchodzili się z pradziadkiem naszych poczciwych słoni. Dopiero dzięki inteligencyi jednego z dozorców wstrzymano kruszenie kości odgrzebanego olbrzyma i uratowano je prawie w całości. Na razie wydobyto mniejszą część owego słonia, ale już to samo jest dla nauki nabytkiem wprost bezcennym.

Wśród wydobytych dotąd części zwracają na się uwagę przedewszystkiem dwa olbrzymie kły, długości około 2 metrów, a mające w części grubszej po 15 cm. miąższości. Kły są zagięte charakterystycznie, podobnie jak rogi wołów węgierskich. W przełomie są one białe, na zewnątrz ciemnoszare i wyglądają jak polerowane. Bardzo dobrze zachowane są także szczęki, a choć je złamano przy wydobywaniu, to przecież będzie je można złożyć dokładnie. W jednej szczęce tkwi ząb siekacz, długości 16 cm., a szerokości 10 cm., o wrębach żuchwowych wyraźnych i ostrych, świadczących, iż słoń ów był młodym w chwili śmierci. Są tam dalej kości stopowe, żebra i kawał nogi. Doskonale zachowała się także skóra olbrzyma, której jest tyle, iż tworzy formalny pagórek. A jest zupełnie miękką i żywą, zwłaszcza tkanka podskórna. Grubość jej wynosi 2 cm. Na tej części skóry, którą dotąd wydobyto, włosów nie widać; zapewniają jednak robotnicy, że inne części pokrywa długi włos, zalepiony woskiem.

Do kilku tygodni zostaną prawdopodobnie prace nad wydobywaniem olbrzymiego cielska zakończone i wówczas wartość jego wystąpi w całej okazałości. Cennym skarbem zaopiekowały się już władze, nie dopuszczając do niszczenia i łamania szczątków. Pojawili się bowiem amatorowie, którzy bez skrupułów zabierali pojedyncze części.



Nadużycia w kolonlach francuskich: Tubylcy, składający podatek w postaci kości słoniowej.

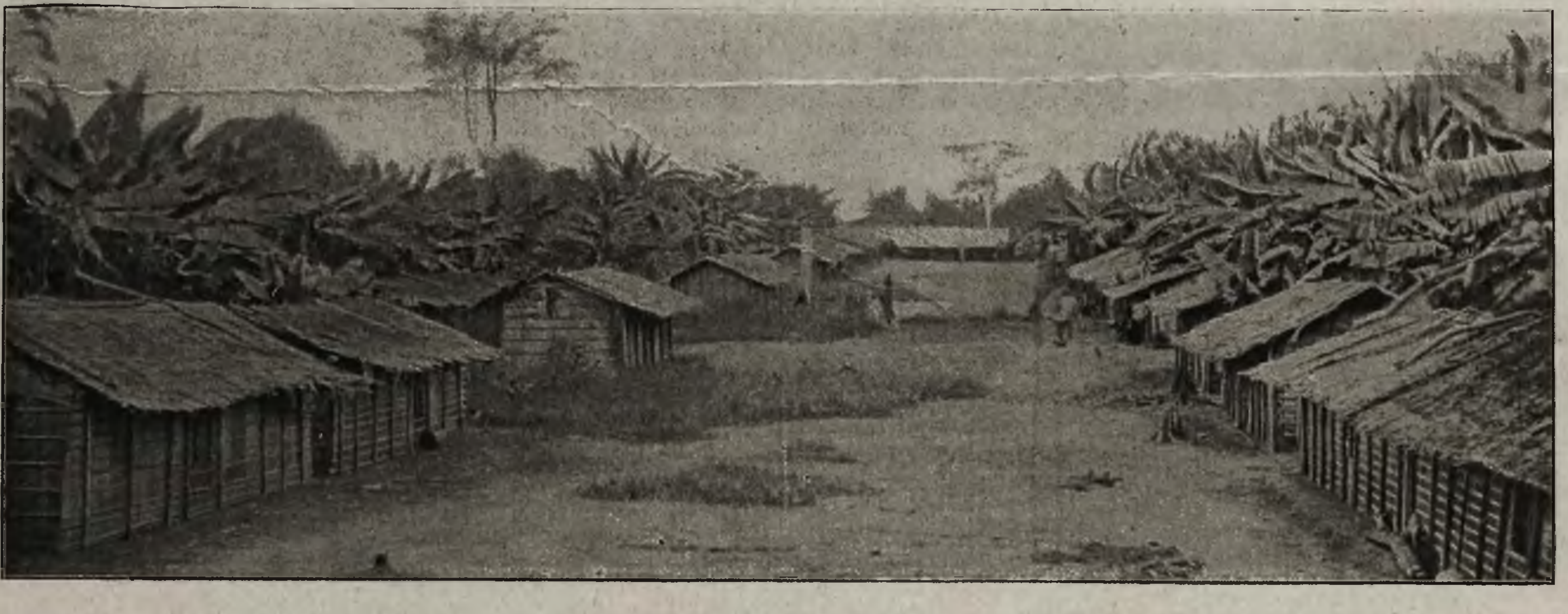
Nadużycia w koloniach francuskich.

Opinia publiczna we Francyi roztrząsa obecnie sprawę „kobiet z Bangi", która znowu weszła na szpalty dzienników. Początek jej sięga jeszcze roku 1905. Urzędnik kolonialny Culard został wysłany do Lobaye celem zebrania podatku, jaki tubylcy zwykli płacić kauczukiem, pieniądze bowiem w kraju tym nie znajdują się w obiegu. Mieszkańcy jednak na widok zbliżającej się ekspedycyi francuskiej poczęli uciekać, chowając się w gąszczach lasów, lub też kryjąc się w posiadłościach belgijskich, które graniczą z koloniami francuskiemi. Urzędnik francuski rychło poradził sobie z tym oporem, kazał bowiem porywać kobiety i dzieci w tych miejscowościach, których męska ludność uchylała się wszelkimi sposobami od dostarczania kauczuku. Schwytano 58 kobiet i dziesięcioro dzieci, które przewieziono na pirogach do Bangi, siedliska władz francuskich i więźniów tych zamknięto w małej i ciasnej izbie o jednym tylko otworze do przepuszczania świeżego powietrza. Nic więc dziwnego, że w krótkim czasie z ofiar tych pozostało przy życiu tylko trzynaście kobiet i ośmioro dzieci. Gdy główny zarządca kolonii francuskich dowiedział się o tych faktach, natychmiast wszczął śledztwo przeciw winnemu urzędnikowi, składając go równocześnie z urzędu. Oprócz tego rząd francuski wysłał specyalną misyę dla zbadania zarządu miejscowego swych kolonii, z poleceniem nie tylko ukarania funkcyonaryuszy, ale i zarządzenia odpowiednich środków, by zapobiedz na przyszłość podobnemu zbieraniu podatków.

Zdjęcia fotograficzne, jakie zamieszczamy w dzisiejszym numerze,



Nadużycia w koloniach francuskich: Typy kobiet z prowincyi Bangi.



Nadużycia w koloniach francuskich: Wioska tubylcza w prowincyi Bangi.

przedstawiają właśnie teren eksploatacyi francuskiej, na którym energiczny kolonizator wymusza od tubylców daniny, należne państwu francuskiemu. Jest tam mianowicie obraz wsi murzyńskiej, dalej grono kobiet murzyńskich i grupa tubylców wraz z podatkiem w formie kości słoniowej.



Pruskie bsgno: Ks. Eulenburg.

Pruskie bagno.

Wśród powszechnego zaciekawienia toczył się przez cały tydzień przed sądem ławniczym w Berlinie proces przeciw redaktorowi czasopisma *Zukunft* Hardenowi, wytoczony mu przez b. komendanta Berlina, generała Kuno hr. Moltkego. A nietylko zaciekawienie ogólne towarzyszyło przebiegowi sensacyjnej rozprawy. Jeszcze większe było obrzydzenie, jeszcze większy był wstręt, który ten proces wywołał. Bo odsłonił on tyle brudu, tyle ohydy, tyle zgnilizny moralnej, jaka przeżera najwyższe sfery niemieckiego społeczeństwa, w szczególności sfery wojskowe, iż porównać je można chyba z zepsuciem, które panowało na dworach imperatorów rzymskich.

Oto grono najbliżej cesarza Wilhelma II stojących dygnitarzy związało się w „kółko przyjacielskie", w którem uprawiano bez żenady homoseksualizm, używając do wyuzdanych orgii i zwyrodniałych popędów, żołnierzy z pułku kirasyerów. W orgiach tych brali udział nietylko wybitni dygnitarze niemieccy i przedstawiciele arystokracyi jak ks. Eulenburg, Kuno hr. Moltke, hr. Lynar i inni, ale i książęta krwi. Że zaś dobrane to kółko tworzyło na dworze cesarskim kamarylę rządową, że dążyło ono wszelkiemi drogami do zagarnięcia wpływu na rządy w państwie, przeto cała afera nabiera w ten sposób charakteru politycznego.

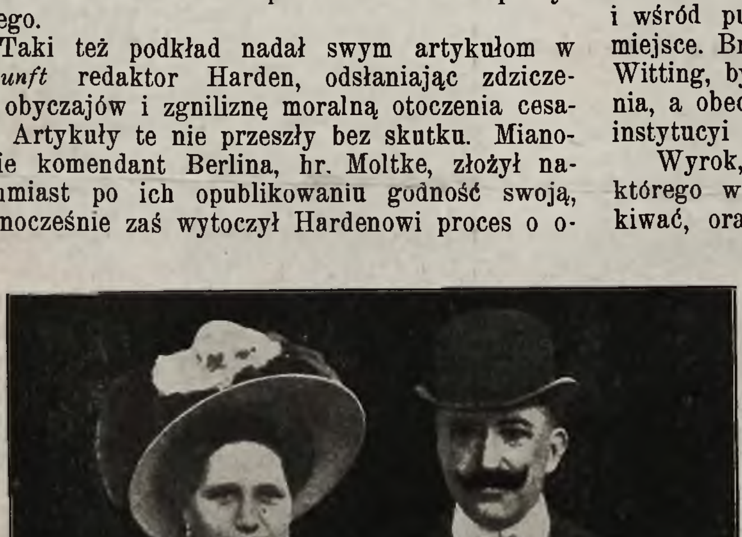
Taki też podkład nadał swym artykułom w *Zukunft* redaktor Harden, odsłaniając zdziczenie obyczajów i zgniliznę moralną otoczenia cesarza. Artykuły te nie przeszły bez skutku. Mianowicie komendant Berlina, hr. Moltke, złożył natychmiast po ich opublikowaniu godność swoją, równocześnie zaś wytoczył Hardenowi proces o obrazę czci. W ciągu procesu role właściwie się zmieniły. Oskarżyciel prywatny, hr. Moltke, uginał się poprostu pod ciężarem zeznań przesłuchiwanych świadków, druzgocących jego samego i kółko przyjaciół. Zeznania tych świadków, zwłaszcza kilku kirasyerów, były tak drastyczne, opisywały orgie, jakich wobec nich dygnitarze niemieccy się dopuszczali, z taką jaskrawością i wyrazistością, że niepodobna ich tu reprodukować. Nic dziwnego też, że opinia publiczna w całych prawie Niemczech, choć ona pod względem moralnym nie zbyt wysoko stoi, zwróciła się przeciw klice, której przewodzili hr. Moltke, ks. Eulenburg itd., a w niedwuznaczny sposób wyrażała sympatye oskarżonemu Hardenowi; śmiało, wyraźnie, przy pomocy swego obrońcy, dr. Bernsteina, wskazywał on coraz to nowe dowody zwyrodnienia tych właśnie sfer, które go na ławie oskarżonych posadziły.



Pruskie bagno: Kuno hr. Moltke.

A podnieść trzeba, iż ten polityk-moralista, Maks Harden, który jakby stroskany o przyszłość ojczyzny z takim ogniem i zapałem stanął do walki z zepsuciem i demoralizacyą, nie jest bynajmniej potomkiem niemieckiego rodu. Pochodzi z Poznańskiego, był dawniej żydem i nazywał się Witkowski. Przed laty przeszedł na protestantyzm i wśród publicystyki niemieckiej zdobył wybitne miejsce. Brat jego, równie przechrzta, nazwiskiem Witting, był smutnej pamięci burmistrzem Poznania, a obecnie jest dyrektorem jednej z berlińskich instytucyi finansowych.

Wyrok, uwalniający Hardena od winy i kary, którego wobec wyników rozprawy należało oczekiwać, oraz polecenie wytoczenia kilku dygnitarzom procesu o zbrodnie przeciw naturze, jest ostatecznem potępieniem kliki, otaczającej sesarza Wilhelma, jest też potępieniem polityki przez nią uprawianej.



Nowe małżeństwo Wölflinga: Leopold Wölfling z żoną, Maryą Ritterówną

O tron badeński.

(Do illustracyi na stronie 10).

Spory między licznymi pretendentami do całej masy tronów w Rzeszy, ułatwiają rolę cesarzowi Wilhelmowi, który przewagę Prus daje dobitnie uczuwać swoim sojusznikom, zwolna zamienionym w pruskich wasalów. Oczy cesarza niemieckiego zwróciły się obecnie na wielkoksiążęcy tron w Badenie, który po niedawnej śmierci ks. Fryderyka I objął syn jego, Fryderyk II; ten jednak dotychczas jest bezdzietnym.

Domniemanym więc następcą tronu badeńskiego jest na razie ks. Maksymilian, stryjeczny brat panującego księcia. Maksymilian Aleksander Fryderyk Wilhelm, urodzony 1867 roku, jest synem młodszego brata zmarłego księcia. Po ukończeniu nauk uniwersyteckich ze stopniem doktora praw, wstąpił do służby wojskowej i zajmuje tam wybitne stanowisko. Ożeniony z Maryą Luizą, księżniczką angielską, córką księcia kumberlandzkiego, doczekał się już syna, wskutek też czego Hohenzollernowie mają na razie zagrodzoną drogę do tronu badeńskiego.



Pruskie bagno: Maks Harden, redaktor »Die Zukunft«.



Pruskie bagno: Główny świadek, kirasyer Bolhart, którego nie przyjął celem skonfrontowania ks Eulenburg.

L. de Laëre.

Tajemnica „Czerwonego Stawu“.

Tłómaczyła z francuskiego Marya S.

5 (Ciąg dalszy).

— Dziękuję wam, ojcze Klemensie — rzekł detektyw powstając — odchodzę już, ale wkrótce się z wami zobaczę. Bądźcie cierpliwi.

Więzień wzruszony błagalnem spojrzeniem objął detektywa.

— Proszę pana — rzekł cicho — pan mi się wydaje dobrym człowiekiem. Ja przez pana nie cierpiałem tak, jak przez tamtych. Czy chce mi pan oddać pewną przysługę?

— Mówcie.

— Ale może ja za dużo wymagam, ale gdyby mi pan nie odmówił, uczyniłby pan dobry bardzo uczynek... Mam córkę. Nie wiem, co się z nią dzieje. Czy zechce ją pan zobaczyć i pocieszyć...

— Gdzie mieszka wasza córka? — zapytał ajent silnie poruszony.

— Zapewne u pani Ducret w Issy na Dużej ulicy Nr. 60.

— Uczynię to, o co mnie prosicie, Klemensie — rzekł ajent wyciągając rękę do więźnia, którą tenże ze łzami w oczach, uścisnął.

— Miejcie nadzieję — rzekł jeszcze raz detektyw wychodząc — teraz ja sam pracować będę nad wykazaniem waszej niewinności.

ROZDZIAŁ XIII.

Na tropie.

Wyszedłszy z więzienia pan Jaime wziął powóz i kazał się odwieść na dworzec. W pół godziny później był już w Sceaux i szedł do mieszkania doktora Lasson.

— Przychodzę do pana doktora w sprawie Klemensa Gibier — rzekł detektyw, gdy służąca wpuściła go do gabinetu lekarza. — Wracam z więzienia, gdzie się widziałem z tym nieszczęśliwym człowiekiem i nabrałem przekonania, że cierpi on niewinnie. Panie doktorze, w umyśle moim powstało silne podejrzenie, lecz zanim stosownie działać rozpocznę, pragnę, abyś mnie pan poinformował w pewnej rzeczy.

— Służę panu z całą gotowością — odparł uprzejmie młody człowiek.

— Jak panu wiadomo, Klemens przy pierwszem przesłuchaniu zeznał, że po wypiciu paru szklanek wina w towarzystwie nieznajomego kramarza, uczuł się dziwnie osłabionym. Czy pan doktór nie przypuszcza, że stan ten przypisać można pewnej dozie narkotyku, który zbrodnicza ręka wsypała do szklanki, aby pozbawić nieszczęśliwego przytomności? Czy wogóle istnieje narkotyk, wywołujący te skutki, jakieśmy wszyscy zauważyli u oskarżonego.

— A tak! W dniu morderstwa uderzył mnie szczególnie jego widok. Klemens Gibier był w stanie silnego osłabienia i odrętwienia, jak człowiek, który dopiero co zbudził się z głębokiego, letargicznego snu. Wiem o jednym narkotyku, który działa w podobny sposób. Są nim krople indyjskie i kora pewnego rodzaju palmy. Kilka kropel tej esencyi wystarcza do uśpienia człowieka.

— Klemens utrzymuje — ciągnął dalej Jaime — że, gdy usłyszał krzyki, wbiegł do sypialni pani de Trèves, spostrzegł człowieka, który podbiegł do niego, a oskarżony w tej samej chwili zwalił się nieprzytomny na ziemię! Czy pan doktór nie zauważył na ciele starego ogrodnika jakiejś odznaki od uderzenia?

— Żadnej — odparł lekarz. — Jeżeli Klemens mówi prawdę, przypuszczaćby można, że zbrodniarz, człowiek, jak widzimy, przebiegły i sprytny, użył silnego narkotyku, aby tego człowieka uczynić nieszkodliwym. Mnie już samemu przypuszczenie to nasuwało się przy badaniu oskarżonego, zachowywał się bowiem jak człowiek, który nagle utracił świadomość swoich czynów.

— Czy pan doktór zechce wyjawić to spostrzeżenie wobec sędziów, gdy tego zajdzie potrzeba?

— Z całą gotowością, panie Jaime, bo wierzaj mi pan, mam głębokie przekonanie, że ten stary jest ofiarą fatalnej pomyłki.

Pożegnawszy lekarza, detektyw Jaime najętym powozikiem udał się do Robinson. Wysiadł na rogu wioski i skierował się w stronę Białego Domku. Skręcił już na drogę do Glenis, gdy nagle zaciekawiony zatrzymał się w miejscu. Za żywopłotem na brzegu łąki siedział na trawie mężczyzna i dziewczyna.

Młoda dziewczyna, zgrabna i ładna wieśniaczka, leżała wyciągnięta wygodnie i zdawała się drzemać; jej towarzysz, olbrzymi o kwadratowych plecach człowiek, siedział u jej nóg i zajęty był gorliwie jakąś ważną robotą. Olbrzymem tym był ajent Matsique. Pan Jaime podszedł ostrożnie, ale nagle pies, którego nie zauważył, zaszczekał donośnie i zbudził dziewczynę. Zerwała się na równe nogi; Matsique podniósł głowę i zobaczył przełożonego. Wyraz osłupienia i przestrachu odmalował się na jego twarzy. Detektyw teraz mógł swobodnie rozpoznać, czem to Matsique był tak zajęty. Ajent robił pończochę!

— A więc tem się teraz zajmujesz, mój przyjacielu — rzekł detektyw surowo, powstrzymując się siłą od wybuchu śmiechu. — Życzę ci powodzenia na tem polu.

— Panie brygadyerze — mruknął Matsique, przestępując z nogi na nogę — panie brygadyerze!...

— No i cóż? Już drugi raz w przeciągu miesiąca przytrzymuję cię na niesubordynacyi. Tak to wypełniasz moje rozkazy. Ja do swoich usług nie potrzebuję człowieka, który dnie całe spędza w towarzystwie Bachusa i Wenus.

— Panie brygadyerze — zawołał gwałtownie nieszczęśliwy ajent — przysięgam panu na mój honor, że nigdy tych panów nie widziałem na oczy...

Jaime parsknął śmiechem. Podszedł do ajenta i wyjął mu z ręki rozpoczętą pończochę i kłębek czerwonej bawełny.

— Niech sobie panienka zabierze tę robotę — rzekł podając ją młodej dziewczynie, która czerwona, zawstydzona stała na uboczu. — I proszę wracać do domu.

Młoda dziewczyna czułem spojrzeniem obdarzyła niefortunnego wielbiciela i wzdychając ciężko, zabrała się do odwrotu.

— Czy ty się nie wstydzisz, Matsique, bawić się w takie głupstwa — rzekł poważnie detektyw, gdy pozostali sami. — Naturalnie musiałeś się przed nią wygadać, kim jesteś!

— Pan brygadyer posądza mnie niesłusznie — zawołał z oburzeniem ajent. — Ja ciągle do niej mówiłem po angielsku.

— I podczas, gdy ty się w miłość bawisz, cóż robi człowiek, którego kazałem ci śledzić?

— Wyjechał, panie brygadyerze.

— Wyjechał? Dawno?

— Już tydzień. Jakiś kupiec ze Sceaux go zastępuje.

— Jaime wydawał się być niezadowolonym.

— A mały Loroit?

— Jego także niema. Skorzystał z nieobecności starego i poszedł do Aulnay do matki.

— Czy nie zauważyłeś nic szczególnego w zachowaniu się tego człowieka?

— Nie!... Cały dzień jest poza domem... chodzi po okolicy.

— W którą stronę chodzi najczęściej?

— W stronę fortyfikacyi. Raz spotkałem go w lasach Verrieres tam, gdzie żołnierze pracują.

— I to ci nie nasunęło żadnych podejrzeń?

Matsique milczał.

— No naturalnie — ciągnął dalej Jaime. — Wiesz ty co, mój Matsique, jesteś skończonym tumanem.

— Do usług pana brygadyera... ale...

— Milcz! — przerwał Jaime. — Już ciebie mam dosyć. Użyję na przyszły raz Larpenteure'a. Teraz idź do domu i zapakuj swoje rzeczy i moje, dziś wieczorem masz być w Paryżu.

— Dobrze panie brygadyerze.

— Masz tu klucz od mieszkania. No idź! Nie powinni nas razem widzieć.

Na zakręcie drogi do Fontenay detektyw i Matsique rozeszli się.

— Przejrzyj dokładnie szuflady biurka — rzekł jeszcze Jaime.

— A co zrobić z kluczem od domu?

— Zatrzymaj go przy sobie. No dalej, umykaj. Dziś o jedenastej w Paryżu w mojem mieszkaniu. Powiedz zastępcy Ullmanna, że jesteś zmuszony wyjechać, ale powrócisz za trzy tygodnie. Tylko zostań w tem przebraniu, pamiętaj.

Matsique oddalił się.

— Piąta godzina — rzekł Jaime, spoglądając na zegarek — mam jeszcze godzinę czasu do pociągu.

Mówiąc to, skierował się na drogę, wiodącą do fortu Chétillon.

— Czy zastałem komendanta — zapytał żołnierza, stojącego w bramie.

— Tak jest, proszę iść do portyera.

W pół godziny detektyw wychodził z fortu, odprowadzany przez komendanta.

— Dziękuję panu raz jeszcze za to ważne ostrzeżenie. Przypilnuję dobrze ptaszka, bądź pan spokojny.

Jaime spiesznie podążał do wsi. Przybywszy do Paryża wysłał depeszę do Larpenteur'a, w której nakazywał mu stawić się nazajutrz w Liverpoolu, poczem udał się do swojego mieszkania. Pan Jaime mieszkał przy ulicy Vivienne na czwartem piętrze, gdzie zajmował niewielkie kawalerskie mieszkanie. Obrazy, bronzy, stare fajansy i różne artystyczne drobiazgi wskazywały, że detektyw jest amatorem pięknych, wartościowych rzeczy. Nic tu nie zdradzało jego profesyi. Ale obok sypialni był mały pokoik starannie zawsze zamykany na klucz, do którego nikt nie wchodził oprócz samego właściciela. Pokój ten miał wygląd garderoby wytrawnego komedyanta. Na wąskim, długim stole, ponad którym wisiało wspaniałe weneckie lustro, stały porozstawiane w nieładzie flakony, słoiczki, pudełeczka i różne inne przybory toaletowe. Na ścianie, obok znacznej ilości kapeluszy różnego kształtu i koloru, wisiały peruki, fałszywe brody i wąsy. Jaime wszedł do swojej garderoby i rozsunął firanki, zasłaniające tylne wejście. W dużej nyży z przybitemi do ścian wieszadłami wisiał stos różnorodnych ubrań. Była to istna tandeta! Oficerskie mundury, liberye, bluzy chłopców biurowych, ubranie konduktorów omnibusowych, bluzy dla robotników, piekarzy, malarzy i listonoszów. Detektyw wybrał trzy ubrania, zdjął z kołka dwie peruki i parę fałszywych włosów i wszystko to zapakował do niedużego kuferka. Poczem powrócił do swojej sypialni, usiadł przed biurkiem, skreślił kilka słów na papierze i w chwili, gdy list pieczętował, drzwi od pokoju się otworzyły i wszedł Matsique.

— To ty? — zawołał detektyw — pospieszyłeś się, mój przyjacielu.

— Tak, to ja panie.

— Doskonale — rzekł Jaime patrząc na świeżo ucharakteryzowaną twarz ajenta. — Jesteś teraz typowym Anglikiem! Oto jest list — dodał — weźmiesz powóz i pojedziesz natychmiast do sędziego Davricourt. Odpowiedzi nie będzie. Potem każesz się zawieść na dworzec Saint Lazare i czekać będziesz na mnie w sali głównej. Odjeżdżamy o dwunastej minut dwadzieścia pięć. Cóż zrobiłeś z bagażami?

— Są na dole u portyera.

— Dobrze, weźmiemy tylko twój kufer i tę owalizkę.

Po wyjściu Matsique'a Jaime przebierał się szybko w kostyum z angielskiego kortu w jaskrawe kraty. Przyklejone bokobrody i zalepione wąsy nadawały mu wygląd poczciwego mieszkańca Albionu. O dwunastej znajdował się już na dworcu, gdzie kupił dwa bilety pierwszej klasy do Londynu.

. . . .

Pan Davricourt, powróciwszy z teatru, zastał na swojem biurku list detektywa. Przeczytał go skwapliwie, ale wiadomości w nim nie musiały być najlepsze, gdyż po chwili twarz sędziego zachmurzyła się, a na czoło jego wystąpiła zmarszczka. Oto co list ten zawierał:

„Jestem tylko w przejeździe w Paryżu i nie mogę osobiście zobaczyć się z panem. Przedsięwziąłem ostatnią ważną próbę. Proszę pana sędziego o natychmiastowe podanie do dzienników notatki, że śledztwo w sprawie Klemensa Gibier zostało przez Szanownego Pana już ukończone i że oskarżony w najkrótszym czasie stanie przed ławą przysięgłych. Wspólnika zbrodni nie odkryto“.

Sędzia raz jeszcze przeczytał list otrzymany i zmiął go ze złości.

— Zawsze te same tajemnicze działania — szepnął. — Czego chce ten Jaime? A może chce on tą notatką uśpić czujność wspólnika starego Klemensa i tym sposobem mimowolnie pociągnąć do uczynienia jakiegoś nierozważnego kroku? Do zdradzenia się?

Pan Davricourt żywił dla detektywa nieograniczone zaufanie i wierzył w jego zdolności, ale oburzał go trochę absolutyzm w postępowaniu Jaime'a, przytem utrudniał mu poważnie dotrzymanie obietnicy, uczynionej pani Ducret. Myśl, że nieszczęśliwa kobieta uwierzyć może w jego złe chęci, napełniała sędziego rozpaczą. Bo cóż mu uczynić wypadnie? Termin, oznaczony przez niego i odwlekający sprawę oskarżonego Klemensa, miał wkrótce upłynąć! Czy zdoła go przedłużyć? I przy-

tem Jaime teraz żąda przyspieszenia sprawy. Sędzia Davricourt był człowiekiem sumiennym i dobrym. Pragnął pogodzić obowiązki służbowe, od których zależał jego honor i opinia — z obowiązkami serca i sumienia.

ROZDZIAŁ XIV.

Pani de Trèves.

Muzyk Guion, kompozytor w modzie, wydawał wieczorek. W dużej pracowni, w willi Sevres, znajdowali się wszyscy jego przyjaciele. Między innymi był tu dziennikarz Gaston Dubles i muzyk Jerzy Hendes, nieodstępni towarzysze. Sławny wiolonczelista, Sivori, ukończył przed chwilą śliczny swój romans „Pieśń bez słów", gdy nagle dał się słyszeć silny dźwięk dzwonka.

— To Ludmiła — zawołał Grandbelle, poeta.

Do pracowni weszła młoda piękna dziewczyna.

— Dobry wieczór! — zawołała od progu. — Spóźniłam się, ale nie moja w tem wina. Musiałam śpiewać na koncercie dobroczynności.

— Przeklętą niech będzie dobroczynność — zawołał Sivori, który nie spuszczał oka z pięknej dziewczyny. Ah, Boże! — westchnął i dodał ciszej do siedzącego obok niego rzeźbiarza — oddałbym wszystkie moje skrzypce i wiolonczele, żeby mieć taki model przez parę dni przed oczami.

Ludmiła przeszła obok niego i wybuchnęła śmiechem.

— No dalej, moje dzieci! Zebraliśmy się tutaj dla sztuki, nieprawdaż? Nie traćmy czasu — zawołał gospodarz Sivori.—Bugnet, Wolf— dalej, zagrajmy kwartet Haydna.

Ale na te słowa z grupy kobiet zerwała się burza.

— Nie! nie! dosyć mamy już klasyków! Dosyć! Chcemy się bawić! Szaleć...

— Mila, zaśpiewaj mi jaką piosenkę.

— Tak, tak, piosnkę kreolską! Piosnkę twoją ulubioną.

— Dobrze, niech i tak będzie, przeklęte sroki — mruczał Guion. — No dalej, Mila, ty czarny dyabełku! Zaśpiewaj, będę ci akompaniował!

Ludmiła podeszła do fortepianu i melodyjnym, o głębokich aksamitnych tonach głosie zaśpiewała smutną kreolską piosnkę. Gdy skończyła, zerwała się burza oklasków.

— Bardzo to wszystko ładnie — zawołała rozpromieniona śpiewaczka — ale przyznam się wam, że jestem okropnie głodna. Zdaje mi się, że nawet Jan już podaje kolacyę. Niech żyje dobre wino i wesołość!

Całe towarzystwo ruszyło do jadalnego pokoju.

— Ale co to? niema Davricourt'a — zauważył poeta Grandbelle. — Zwykle przychodzi na nasze artystyczne wieczorki.

— Dał mi znać, że jest bardzo zajęty sprawą Klemensa Gibier, którego sądzić mają w tych dniach — odparł gospodarz.

— Sprawa Klemensa Gibier? A co to jest? — zapytał poeta.

— Mój drogi, widzę, że nie czytujesz dzienników.

— Opowiedzcie nam to! Opowiedzcie — zawołały kobiety.

— Nikt wam tak dobrze nie objaśni jak Dubles i Jerzy Hendes. Oni to pierwsi odkryli jedną z ofiar i byli wzywani jako świadkowie do badania...

— Tak, tak, niech dziennikarz opowiada, panie Dubles, słuchamy.

— I owszem — odparł Gaston. — Sprawa to jest bardzo romantyczna i tajemnicza. Istny romans. Młoda wdowa, pani de Trèves, ale prawda, panno Ludmiło, ona, zdaje się, jest rodaczką pani.

— Pani de Trèves?

— Tak — pochodzi z Martyniki — z Saint Pierre?

— A jej panieńskie nazwisko?

— Derval, czy też Dereval. Ojciec jej posiadał fabrykę cukru. Davricourt zna bardzo dobrze tę rodzinę. Otóż pani de Trèves była bardzo piękną kobietą. Zdarzyło się, że jakiś młody mężczyzna, Valbreque, ładny chłopiec, zakochał się w niej gorąco i wyznał jej swą miłość. Pani de Trèves była uczciwą kobietą. Zwierzyła się mężowi. Przyszło do ostrej wymiany słów między mężem a wielbicielem i doszło aż do pojedynku. Pan de Trèves umarł wkrótce z ran, otrzymanych od przeciwnika. Właściwie, jak dowiedziono, nie był to zwykły pojedynek, lecz morderstwo. Młody inżynier posłużył się nieprawidłowo lewą ręką, by odeprzeć rękę przeciwnika i utopił mu swoją szpadę w piersi. Sprawą tą zajęła się policya, a Valbreque został skazany na karę pieniężną.

— Bardzo lekkie zasądzenie — zauważyła Ludmiła.

— Valbreque był od tej chwili złem okiem witany w salonach, w których dotąd miłym był gościem. Opinia publiczna zwróciła się przeciw niemu z całą surowością. Wyjechał i wkrótce rozeszła się wieść o jego śmierci.

— Czy jesteś tego pewny Gastonie? — zapy-



Zdjął z kołka dwie peruki i parę fałszywych wąsów.

tał Guion — który od początku śledził uważnie opowiadanie przyjaciela.

— Podobno konsulat francuski w Bułgaryi wieść tę przesłał do Francyi. Przez krótki czas posądzano go bowiem o zamordowanie pani de Trèves i władza tutejsza czyniła za nim poszukiwania.

— Ależ to niemożliwe — zauważyła Ludmiła.— Szczególny by to był sposób okazania jej swojej miłości.

— Szczególny, ale praktykowany. Valbreque posiadał naturę nerwową i chorobliwą; był zdolny do szalonych czynów. Kochał panią de Trèves dziką, namiętną miłością, miłością zmysłową, beznadziejną... i nie mógł znieść myśli, że może kiedyś należeć do innego mężczyzny.

— Ależ to istny romans — zawołała Ludmiła.

— Tak i to romans przeżyty może — rzekł Guion. — Mam silne przekonanie, że Valbreque żyje i jeżeli nie jest sam mordercą pani de Trèves, to w każdym razie jest wspólnikiem tej zbrodni. Wspomniałem o moich domysłach sędziemu Davricourt, który również rzecz tę za niemożliwą nie uznał.

— Kiedyż to ta nieszczęśliwa kobieta została zamordowaną? — zapytała Ludmiła.

— Będzie temu trzy miesiące. Pani de Trèves usunęła się w okolice Paryża do Robinson i tam to została zamordowaną przez jakiegoś nędznika.

— Sądziłem, że zamordował ją jej własny służący — rzekł rzeźbiarz Sivori.

— Tak przyjnajmniej utrzymuje policya. Człowieka tego odkryto w pokoju ofiary z zakrwawionemi rękami i ubraniem. Davricourt jest przekonania, że jeden i ten sam zbrodniarz nie popełnił tego podwójnego morderstwa... bo nie wiem, czy państwu wiadomo, że i służąca pani de Trèves również została zamordowaną.

— To straszne!

— Czyś ty znał Valbreque'a? — zapytał dziennikarza poeta Grandbelle.

— Pracowaliśmy w jednym dzienniku. Był to przyjemny chłopiec, ale dzikiego charakteru. O bądź co wpadał w wściekłość. Dzielny był przytem i lekceważący swoje życie.

— Ależ to, co nam pan mówi o Valbreque'u, nie wytłómaczy roli, którą zagrał w tym wstrętnym pojedynku z panem de Trèves. Czy naprawdę był on winnym? Może ruch jego był mimowolny, nerwowy!

— O nie! świadkowie zbadali tą rzecz sumiennie i drobiazgowo.

— A jakże wyglądał ten pan Valbreque? — zapytała Ludmiła.

— Valbreque był brunetem o ściągłej ciemnej twarzy i niebieskich oczach. Ot podobny bardzo do pana Davricourt, naturalnie gdy ten był młodszym

— Pochlebne podobieństwo — zawołał Hendes śmiejąc się.

— Doprawdy, gdybym nie wiedział, że Davricourt nie miał naturalnego syna, posądziłbym go, że jest ojcem tego ptaszka — ciągnął dalej młody dziennikarz. Ale dosyć już o tem, proponuję przechadzkę po ogrodzie. Czy panie przyjmują mój projekt?

— Z przyjemnością! — zawołały chórem młode kobiety.

Po chwili całe towarzystwo rozproszyło się grupami po ogrodzie. Dziennikarz szedł pod ręką z kreolką Ludmiłą.

— Wie pan — rzekła młoda kobieta — że mimowoli myśl moja jest zaprzątnięta pańskiem opowiadaniem. To dziwne, że nie słyszałam o tem w Saint Pierre.

— A w jakim czasie przebywała pani w Saint Pierre?

— Byłam tam miesiąc temu...

— Rzeczywiście, to zadziwiające. Wiem z całą pewnością, że pani de Trèves pochodziła z Martyniki. Znam nawet pewien szczegół, który sądzę mógłby może stać się użytecznym panu Davricourt.

— A może pan także do policyi należy, skoro sprawa ta pana tak silnie absorbuje? — zaśmiała się piękna kreolka.

— Mylisz się, piękna Ludmiło. Jestem, jak każdy dziennikarz, ciekawy z natury i nawet przyznam się pani, że na swoją rękę czyniłem poszukiwania.

— Doprawdy?

— Tak jest. Valbreque, jak już wspomniałem, był moim kolegą. Dowiedziałem się, że przed przybyciem do Paryża wiódł bardzo awanturnicze życie... Valbreque był znalezionem dzieckiem i nosił nieprawne nazwisko. Służył w marynarce francuskiej, z której dezerterował... Co pani jest? panno Ludmiło — dodał zaniepokojony dziennikarz, gdyż uczuł jak przy ostatnich jego słowach ręka młodej dziewczyny zadrżała silnie.

— To nic, dreszcz mnie przeszedł.

— Czy chce pani wrócić do mieszkania?

— O nie! tak tu przyjemnie! Niech pan mówi dalej. Ciekawa historya, nieprawdaż? Czy nie wie pan, gdzie się udał pan Valbreque po opuszczeniu służby?

— Owszem... Udał się do rodzinnego pani kraju do Fort-de-France — i szczególnym zbiegiem okoliczności dezercya jego miała miejsce w tym czasie, w którym pani de Trèves wyjeżdżała do Francyi.

(Ciąg dalszy nastąpi)

•Najmłodszy adwokat.

Szeregi francuskich adwokatów płci żeńskiej powiększyły się przed paru dniami o jedną siłę, która nietylko wśród tamtejszej palestry, ale w całym świecie będzie i najmłodszą i najpiękniejszą.



Najmłodszy adwokat: Helena Miropolsky, która jako 19-letnia panna, otworzyła kancelaryę adwokacką w Paryżu. Fot. K. Seebald, Wiedeń.

Dzięki ustawom francuskim, które do rozpoczęcia działalności adwokackiej wymagają tylko złożenia przepisanych egzaminów, nie żądają zaś — jak u nas — kilkoletniej praktyki, oraz dzięki wybitnym zdolnościom, mogła panna Miropolsky w 19 wiośnie swego życia uczynić zadość wymaganiom ustawy, w następstwie czego została zaprzysiężoną i otworzyła kancelaryę porady prawnej w Paryżu.

Najmłodsza adwokatka paryska p. Helena Miropolsky, jest osobą przecudnej urody. Na pierwszy rzut niktby nie uwierzył, iż właścicielka tak miłej, ujmującej twarzyczki, tak ślicznych, głębokich oczu — jest zaprzysiężonym adwokatem. A trzeba dodać, że w poważnej todze adwokackiej jest jej bardzo do twarzy. Trudno zaś uwierzyć, iż tak młodziutka i tak uroczo piękna osóbka jest dyplomowanym adwokatem, głównie dlatego, iż przywykliśmy widzieć na czele ruchu feministycznego, jako najzaciętsze tego ruchu przedstawicielki, kobiety i starsze i brzydkie. Prawie bez wyjątku.

Czy panna Miropolsky okaże się dzielną przedstawicielką zawodu adwokackiego, dziś trudno przewidzieć. To zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, iż nie zabraknie jej klientów.

Pretendenci do „Białego Domu“.

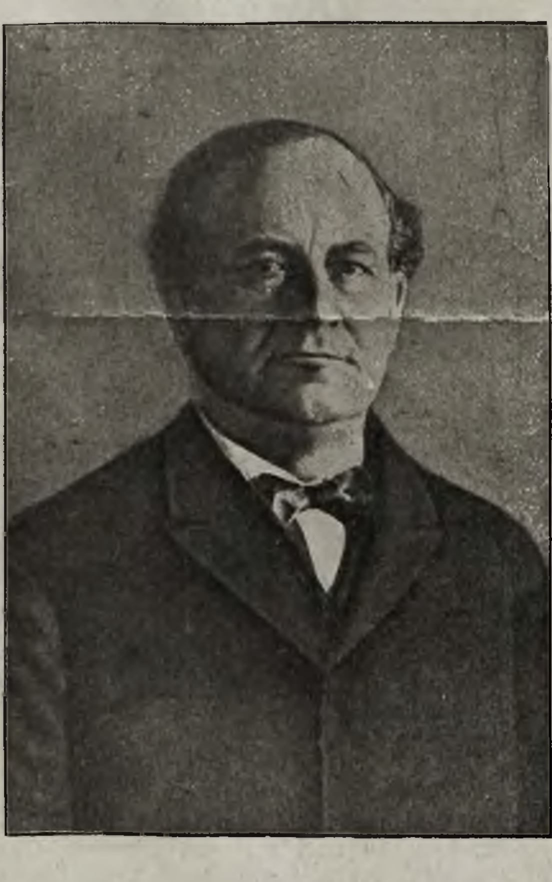
Prezydent Stanów Zjednoczonych według prawa zwyczajowego, datującego się już od czasów Washingtona, nie może być po raz trzeci wybranym na ten najwyższy urząd w republice. Obecnie prawo to muszą zastosować Amerykanie do swego ukochanego „Teddys'a“, jak popularnie nazywa się w swej ojczyźnie Roosevelt, którego rządy kończą się 4 marca 1909. Jeszcze więc wiele czasu jest do przyszłych wyborów, mimo to partye polityczne już obecnie stawiają swoich kandydatów, rozwijając za nimi szaloną agitacyę.

Kandydatem partyi republikańskiej jest minister wojny, William Howard Taft, cieszący się poparciem obecnego prezydenta. Urodzony 1857 r. w Cincinnati, był przez jakiś czas dziennikarzem, adwokatem, sędzią, potem profesorem prawa w uniwersytecie swego rodzinnego miasta. W r. 1900 został mianowany pierwszym gubernatorem wysp Filipińskich, na którym to urzędzie położył wielkie zasługi. Powołany następnie na ministra wojny, staje teraz do walki wyborczej o najwyższe dostojeństwo w swej ojczyźnie.

Jak już poprzednio pisaliśmy, Taft wybrał się w podróż do około świata. Obecnie wyjechał do Japonii, odwiedzi potem Filipiny, skąd przez Syberyę przyjedzie do Europy.

Do najsilniejszych przeciwników Tafta o „Biały Dom“ prezydenta amerykańskiego, należy kandydat partyi demokratycznej, William Jennings Bryan, który już dwa razy stawał w szranki wyborcze przeciw byłemu prezydentowi Mac Kinley'owi, lecz za każdym razem nieszczęśliwie. Po swoich porażkach Bryan nie zwlekał, lecz zaczął natychmiast agitować za sobą do przyszłych wyborów. Założył tygodnik „The Commoner“, w którym zwalczając imperyalizm i trusty, zjednywał sobie w ten sposób przyszłych wyborców. Nieznużony ten kandydat urodził się 1860 r. w Salem w Stanie Illinois; po skończeniu nauk w Chicago, poświęcił się adwokaturze, zdobywając sobie wielką sławę jako mówca. W roku 1890 został wybrany do izby posłów.

Oprócz tych dwóch kandydatów stałych, co jakiś czas pojawiają się nowi, których liczba ze zbliżaniem się terminu wyborów będzie ciągle wzrastała.



Kandydaci do »Białego Domu«: William Jennings Bryan, kandydat partyi demokratycznej.



Kandydaci do »Białego Domu«: William Howard Taft, kandydat partyi republikańskiej.

Skon niemieckiego kardynała.

Kollegium kardynalskie znowu okryło się żałobą z powodu śmierci kardynała Andrzeja Steinhubera. Urodzony w Uttlau w Bawaryi 1825 roku, nauki kościelne pobierał w Kollegium niemieckiem w Rzymie, a potem studyował prawo na uniwersytecie monachijskim już jako kapłan, ucząc jednocześnie religii w domu księcia Maksymiliana Bawarskiego. Uczenicą jego była także zmarła cesarzowa Elżbieta. Jako trzydziestodwuletni mężczyzna wstąpił do zakonu Jezuitów, lecz jeszcze przed skończeniem nowicyatu Pius IX powołał go do Rzymu na rektora zakładu wychowawczego, w którym po-



Skon niemieckiego kardynała: Kardynał Andrzej Steinhuber.



Rekonstrukcya gabinetu: Dr. Józef Forzt, ustępujący minister handlu.

przednio sam} się kształcił. Po trzynastu latach sterowania „Collegium Germanicum“, został mianowany przez papieża teologiem i konsultorem nadzwyczajnych spraw kościelnych. Na konsystorzu 1893 roku, Leon XIII mianował go kardynałem. Reguła zakonu Jezuitów nie dozwala swym członkom przyjmowania wysokich godności duchownych, papież jednak w tym wypadku udzielił dyspenzy, chciał bowiem przez powołanie Niemca do świętego Kollegium podnieść znaczenie kościoła katolickiego w państwie protestanckiem. Mianowany prefektem Indeksu, wywierał znaczny wpływ na sprawy kościelne, chociaż podobno nie był tak nietolerancyjnym, jak to w swoim czasie rozgłaszano. W każdym razie przynależność do zakonu Jezuitów nadawała pewien charakter wszystkim czynom zmarłego kardynała. Po śmierci kardynałów Franzelina, Hergenröthera, Melchersa i Hohenlohego, kardynał Steinhuber był jedynym niemieckim członkiem świętego kollegium w Rzymie. W Niemczech spodziewają się obecnie, iż papież kilku przyszłych kardynałów wybierze z pośród niemieckiego kleru.



Rekonstrukcya gabinetu: Dr. Fryderyk Pacak, ustępujący czeski minister-rodak.

Strejki we Włoszech.

Przez cały prawie tydzień były miasta w północnych Włoszech widownią burzliwych zajść, wywołanych strejkiem robotników gazowni w Medyolanie. Jak wiadomo, strejk rozpoczęty przez robotników gazowych, objął także robotników innych gałęzi przemysłu i rozszerzył się na cały szereg miast.

Najgwałtowniejszy przebieg miały strejki w Medyolanie, Turynie i Genui. Liczba bastujących robotników rosła w każdem z tych miast w dziesiątki tysięcy, a zgromadzenia i pochody strejkujących wywoływały wszędzie panikę i obawę rozruchów, wskutek czego kupcy zamykali sklepy, a publiczność chroniła się do domów.

Te środki bezpieczeństwa były przeważnie zbyteczne, gdyż z małymi bardzo wyjątkami strejki miały przebieg spokojny, a robotnicy ograniczali się na hałaśliwych demonstracyach i manifestacyach. Polegały one przeważnie na pochodach, w których brały udział tysiące robotników, uszeregowanych w karne zastępy.



Strejki we Włoszech: Strażnicy pod osłoną karabinierów zapalają latarnie gazowe w Genui.



Nowy poseł: Radca Władysław Dębski.

Strejki generalne trwały we wszystkich miastach bardzo krótko, miały one bowiem charakter tylko demonstracyjny, a celem ich było zaświadczenie solidarności między robotnikami. Najdłużej wstrzymywali się od powrotu do pracy robotnicy gazowni w kilku miastach, oni bowiem wystąpili wobec swych władz z szeregiem konkretnych postulatów i od ich spełnienia czynili zawisłem podjęcie dalszej pracy. Ponieważ tedy skutkiem tego strejku miasta były narażone na zupełny brak

światła w godzinach wieczornych, powołano do służby w zakładach gazowych strażaków oraz wojsko. Pod ochroną policyi spełniali oni nietylko



Krwawy dramat w Warszawie: Jadwiga Krżmieikówna.

rozmaite czynności wewnątrz zakładów, ale przebiegali ulice miasta, zapalając latarnie.

Ostatecznie udało się wszystkich robotników skłonić do zaniechania strejku i powrotu do pracy i od tygodnia nie nadeszły z Włoch żadne niepokojące pod tym względem wiadomości.

Rekonstrukcya gabinetu.

Zasadnicza, podstawowa zmiana reformy wyborczej zmieniła też gruntownie skład klubu czeskiego. Z wszechwładnego do niedawna stronnictwa młodoczeskiego, wróciło do parlamentu zaledwie około dwudziestu posłów, inne zaś miejsca — obok socyalistów — zajęli agraryusze, katoliccy narodowcy, radykali itd. W następstwie tego klub czeski, dawniej słynny ze spoistej i solidarnej organizacyi, dziś jest luźnym zlepkiem szeregu samodzielnych organizacyi partyjnych, nie zaś samodzielną organizacyą narodową.

Dalszem następstwem tej zmienionej sytuacyi w łonie klubu czeskiego musi być rekonstrukcya gabinetu, reprezentacya bowiem czeska w gabinecie stała się nieodpowiednią; obaj ministrowie czescy, dr. Forzt i dr. Pacak należą mianowicie do zwyciężonego przy ostatnich wyborach stronnictwa młodoczeskiego. To też zaraz po zebraniu się parlamentu na sesyę jesienną poczęły kursować pogłoski o zamierzonej dymisyi obu czeskich ministrów, a dziś pogłoski te przemieniły się w fakt dokonany.

Wprawdzie młodoczesi pod kierunkiem dr. Kramarza próbowali uratować zachwianą pozycyę swych mężów zaufania, dążąc do fuzyi wszystkich grup czeskich w jeden solidarny klub, próba ta jednak się nie powiodła i w obozie czeskim panuje dalej zamęt i bezhołowie, wobec czego ministrom Forztowi i Pacakowi nie pozostawało nic innego do uczynienia jak podać się do dymisyi.

Nastąpiło to w piątek ubiegłego tygodnia. Dr. Forzt, minister handlu i dr Pacak, czeski minister-rodak, wręczyli w tym dniu wspólną prośbę o dymisyę prezydentowi ministrów bar. Beckowi.

Ustępujący ministrowie należą do bardzo wybitnych czeskich mężów stanu. Dr. Józef Forzt, ur. 1850 r., był sekretarzem Izby handlowej i przemysłowej w Pradze, nadto zajmował się publicystyką, pracując w redakcyi „Nar. Listów“. Powołany na szefa sekcyi w ministerstwie kolei żelaznych, odznaczył się energią i zdolnościami. Do gabinetu wszedł jako minister handlu w r. 1906. Dr. Fryderyk Pacak, ur. 1846 r., był adwokatem w Kuttenbergu, pracował również w redakcyi „Nar. Listów“. Do parlamentu wszedł po raz pierwszy w r. 1891, a razem z dr. Forztem w 1906 r. powołany został do gabinetu na czeskiego ministra bez teki.

Nowy poseł.

W czasie ogólnych wyborów do Rady państwa w maju b. r. wybrany został w okręgu wyborczym Złoczów - Kamionka Strumiłowa - Olesko posłem mniejszości p. Kazimierz Obertyński, poseł sejmowy, właściciel dóbr, obywatel ogólnym wśród włościaństwa tamtejszego cieszący się szacunkiem i popularnością. Sterane długoletnią pracą obywatelską zdrowie p. Obertyńskiego nie pozwala mu jednak obecnie spełniać ciężkich obowiązków poselskich, wobec tego widział się więc zmuszonym mandat swój złożyć.



Krwawy dramat w Warszawie: Kazimierz Przysiecki.

Na podstawie przepisów ustawy o powszechnych wyborach, w miejsce ustępującego posła w chodzi wybrany z nim równocześnie zastępca. Zastępcą tym jest p. Władysław Dębski, radca sądowy ze Złoczowa; p. Dębski został już powołany do Rady państwa. Koło polskie zyskuje w nowym pośle siłę bardzo dzielną. Radca Dębski bowiem jest człowiekiem w pełni sił, wysokich zdolności i znakomitym mowcą. Gorący patryota, na niwie ojczystej już wybitnie zasłużony i nie szukający popularnego rozgłosu, wypełni niewątpliwie z chlubą lukę, uczynioną przez ustąpienie p. Obertyńskiego.

Porwanie dziecka.

Wieczni tułacze, koczownicze plemię cygańskie, znane jest powszechnie z brzydkiego nałogu złodziejskiego. A kradną cyganie z zamiłowaniem nietylko wszelkiego rodzaju przedmioty, czy one są złote, czy srebrne, czy choćby żelazne, a nawet drewniane, ale i... dzieci. Ileż to na ten temat legend i opowieści krąży wśród naszego ludu, legend, opowiadających o zaginięciu małych dziatek, o porwaniu ich przez cygańskie bandy, o cudownem ich wyratowaniu. Ileż powieści i romansów osnuto na tego rodzaju wypadkach.

Że w opowieściach tych gra rolę nietylko fantazya ale i rzeczywista prawda, dowodem na to jest cały szereg faktów, a między innymi niedawno zaszły w miasteczku Żółkwi. Oto przywędrowała tam banda cygańska, złożona z kilkunastu ludzi, na brudnych, rozklekotanych wozach; banda ta rozlokowała się pod miasteczkiem, skąd czyniła wycieczki w okolice. Pozorem do nich było szukanie pracy i zarobku, bo mężczyźni, należący do bandy, trudnili się kowalstwem i kotlarstwem, kobiety zaś wróżyły naiwnym włościankom przyszłość. Prócz tego jednak korzystali cyganie z ka-



Porwanie dziecka: Cyganie aresztowani w Żółkwi, pod zarzutem porwania dziecka, które właśnie jedna z cyganek trzyma na ręku.



Porwanie dziecka: Ludność Żółkwi otacza ratusz, gdzie zamknięto cyganów.

żdej sposobności, by lżejszą drogą powiększyć swój dobytek i gdzie się tylko dało i co się dało, kradli. Ofiarą ich [zachłanności padło też w Żółkwi dziecię żydowskie. Porwali je w biały dzień z ulicy i gdyby nie przypadek, kto wie, czy biedne dziecko zdołanoby im wyrwać. Na szczęście jednak zbrodniczy czyn cyganów wykrył się dość wcześnie; zawiadomiono o zajściu żandarmeryę, która przeprowadziła rewizyę w obozie cyganów, dziecię odebrała a całą bandę uwięziła.

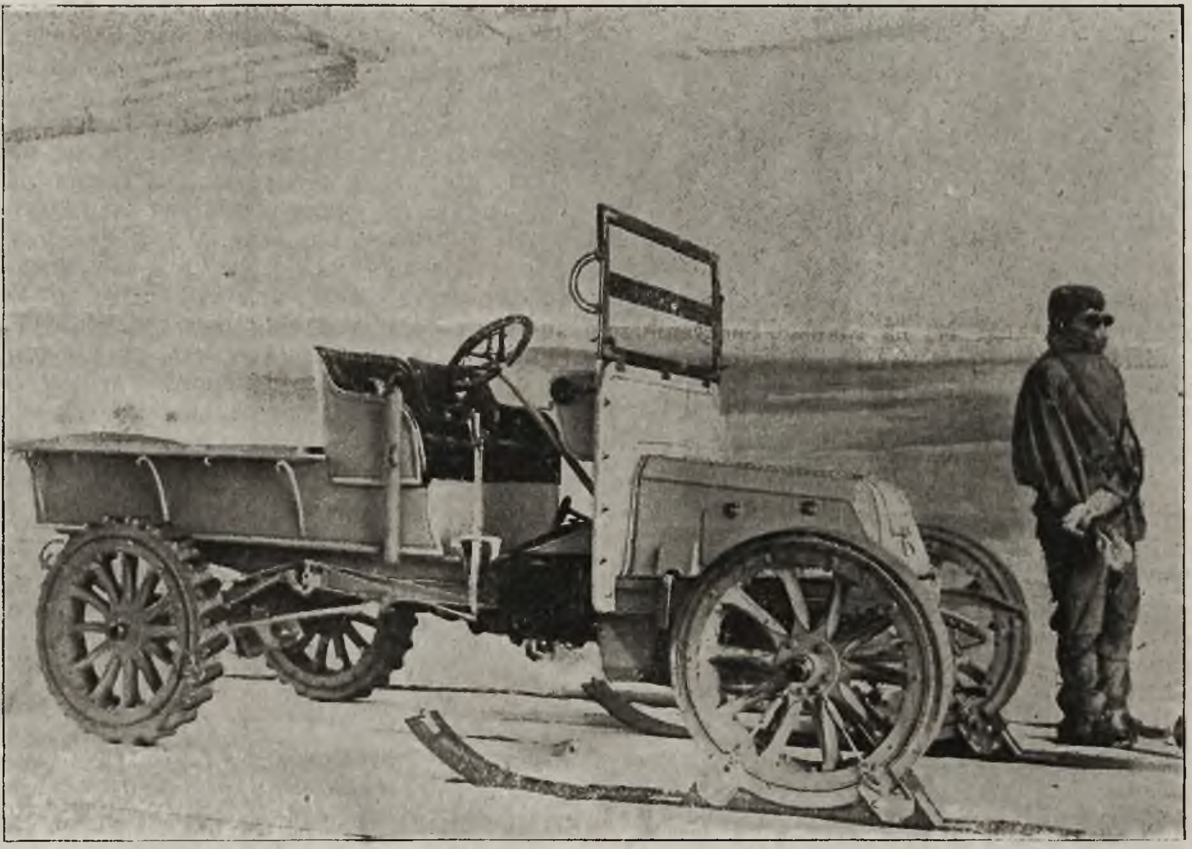
Wypadek ten wywołał w całej Żółkwi ogromne poruszenie, a ludność żydowska nie taiła gwałtownego oburzenia przeciw złodziejskim cyganom. Bandę umieszczono w ratuszu w Żółkwi i gdy się ludność miejscowa o tem dowiedziała, otoczono ratusz gromadnie, a tłum domagał się surowego ukarania winnych. Kara też za to spotka ich niewątpliwie surowa.

Samochodem do bieguna.

Jedną z zagadek, dręczących umysły uczonych i podróżnych od wielu bardzo lat, jest kwestya obu biegunów, północnego i południowego, do których dotąd — mimo wielu prób, mimo poświęceń i trudów niezmiernych — nie udało się nikomu dotrzeć. Wspomnienie dzielnego Andrée'go, który życiem przypłacił swą służbę dla dobra nauki, nie odstrasza innych pionierów wiedzy od coraz to nowych, coraz śmielszych prób.

Obecnie donoszą o nowej wyprawie w celach naukowych, o wyprawie do bieguna południowego, dokąd wybiera się porucznik marynarki angielskiej E. H. Shackleton. Uczestniczył on już w sławnej podróży okrętu „Dircovery“, który w 1901 r. dotarł najdalej na południe. Wyprawę swą naukową rozpocznie por. Shackleton na starym okręcie „Endurance“, dotrze nim do „kraju króla Edwarda VII“, a stamtąd puści się w dalszą podróż na specyalnie w tym celu zbudowanym samochodzie.

Por. Shackletonowi towarzyszyć będą w wyprawie kapitan okrętu England i inżynier Dunlop. Ekspedycya wyruszy w najbliższym czasie z Nowej Zelandyi na wody południowe, w czasie kiedy w tych okolicach panuje upalne lato. Podstawą operacyjną tej wyprawy będzie wschodni cypel „kraju krola Edwarda VII“; stamtąd to podąży trzono w zęby, które mają uniemożliwić ślizganie się ich po gładkiej powierzchni lodu, do przednich zaś doczepione są sanie, aby ułatwić ruch po śniegu i lodzie.



Fot. K. Seebald, Wiedeń.

Samochodem do bieguna: Samochód porucznika Shackletona.

Shackleton na południe, celem odkrycia nowych, nieznanych jeszcze ziem.

Jak wspomnieliśmy, dalszą część drogi odbędzie por. Shackleton na samochodzie. Materyał, z którego zbudowano ten samochód, przystosowany jest do warunków klimatycznych okolic podbiegunowych, konstrukcya zaś jego, a głównie koła zastosowane tak, żeby się mógł poruszać tak na lodach, jako też po masach miękkiego śniegu. Tylne mianowicie koła zaopa-

Por. Shackleton wiezie ze sobą sporo zapasów żywności, a nadto rzeczy tak nieodzowne, jak szałas o podwójnych ścianach, wypełnionych wełną, oraz składaną łódź.

Szałas ten chronić będzie odważnych podróżników od mrozu i od niesłychanie gwałtownych wichrów, jakie panują w okolicach podbiegunowych, oraz od zawiei śnieżnych. Łódź zaś składana ułatwiać będzie por. Shakletonowi i jego towarzyszom, wyprawy morzem w tych okresach roku, kiedy woda jest wolną od lodu. Na bliższe wycieczki po zamarzniętym oceanie przeznaczone są małe, zgrabne saneczki, których kilka par biorą ze sobą uczestnicy wyprawy.

Wyprawa ta obliczona jest na rok cały, a powrót dzielnych podróżników ma nastąpić od „kraju Edwarda VII“ do Anglii znowu na okręcie „Endurance“.



Fot. K. Seebald, Wiedeń.

Wesoła małpa: Orangutan »Hansi« w zwierzyńcu w schönbruńskim z dozorcą Nowotnym.



O tron badeński: Następca tronu, ks. Maksymilian wraz z żoną i dziećmi.

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

15 Ciąg dalszy.

— Tak, to on.

— Oh, oh, czeka go ładna niespodzianka za przybyciem z powrotem do domu. Ale chodź, chodź, to miejsce niestosowne na podobne rozmowy.

ROZDZIAŁ XIX.

Wykradzenie.

Jerzy Beraldi, pożegnawszy się z Jakóbem Mayot, skierował się do swego powozu, gdy na zakręcie ulicy natknął się na Rigola. Spotkanie to nie zdziwiło go. Przypuszczał, że ajent będzie gdzieś krążył niedaleko niego.

— Wiedziałeś więc pan, że tutaj będę? — zapytał Jerzy.

— Tak, przeczuwałem — odrzekł Rigolo — sprawa zaczyna się wikłać. Widziałem wszystko i słyszałem. Zobaczyłem pana zbliżającego się do szopy i łatwo odgadnąć mogłem, że wezwała pana tam żona Jakóba Mayot.

— Tak było rzeczywiście — potwierdził Jerzy.

— Ale była tam jedna osoba, której pan nie widział.

— Kto taki?

— Brzuchacz. Ciekawy jestem, czego on chciał. Jestem bardzo niespokojny. Czy pan wraca do siebie, panie hrabio?

— Tak jest.

— Pozwoli mi pan usiąść w powozie?

Jerzy podszedł do powozu, wskazał miejsce ajentowi i sam usiadł obok niego.

— Do domu! — rzekł do stangreta.

— Czy wie pan — rzekł Rigolo, podczas gdy powóz toczył się po ulicach miasta — że doszliśmy z Buvardem do przekonania, że istnieje pewna analogia pomiędzy zbrodnią z ulicy Monge, a zbrodnią, za którą hrabia de Torella został skazany?

— Czy macie dowody?

— Może je pan sam nosi przy sobie? Tak, pan, pan — powtórzył silnie Rigolo, widząc zdziwienie Jerzego. — W dniu, w którym po raz pierwszy widziałeś Jakóba Mayot i w którym oddał ci bilet, powierzony mu przez pańskiego ojca, czy nie powiedział ci wówczas czegoś, co mogłoby świadczyć o niewinności hrabiego?

— Nic formalnego. Jednakże pozostało we mnie dziwne uczucie podejrzenia, że Jakób Mayot nie powiedział jeszcze wszystkiego, co wie.

— A więc sądzę, że list, który panu wręczył, zawiera pewne wskazówki tajemne, które jemu jedynie są znane, a utwierdza mnie w tem przypuszczeniu usiłowane wykradzenie listu z domu pana przy ulicy Bourbon.

Jerzy drgnął silnie.

— A więc jest ktoś, komu zależy na zniknięciu tego listu.

— O ile on jest dowodem.

— Kto to być może?

— Tylko prawdziwie winny.

— Ależ pan czytał ten list?

— Tak, ale są listy, które nabierają zupełnie innego znaczenia, jeżeli się umie czytać między wierszami.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał Jerzy.

W tej chwili powóz zatrzymał się przed domem hr. Jerzego.

Rigolo nie odpowiedział na ostatnie pytanie.

Po kilku minutach wchodzili do gabinetu Jerzego. Choć nie nastała jeszcze zimna pora, w kominku leżało przygotowane drzewo do palenia.

Rigolo bez słowa, przy pomocy starej gazety rozpalił ogień.

— Co pan robi? — zapytał Jerzy zdziwiony.

— Zaraz się pan dowie — odpowiedział ajent. Czy zechce mi pan teraz podać list hrabiego de Torella?

Jerzy usłuchał machinalnie.

— Doskonale — rzekł Rigolo rozkładając papier. — Za chwilę powinniśmy dowiedzieć się czegoś ciekawego.

Z wielką ostrożnością przybliżył list do ognia i zbliżając i oddalając kilkakrotnie papier od płomienia, badał drobiazgowo pismo.

Jerzy zrozumiał czynność ajenta i z zapartym oddechem śledził każdy ruch jego. Po chwili na liście poczęły występować blade litery.

— Nie omyliłem się w przypuszczeniach — zawołał Rigolo z zadowoleniem — list ma tekst ukryty.

— Bądź pan ostrożny — szepnął Jerzy wzruszony.

Pochylił się jeszcze niżej nad Rigolem i rozpromienionym wzrokiem śledził następujące znaki.

— Oh, czytaj pan, czytaj! Gdybyś wiedział jakie męki przechodzę.

Twarz Rigola promieniała radością. Jakże dumnym był ze swojego odkrycia! Prawda spoczywała teraz w jego ręce. — Naglony przez Jerzego przeczytał głośno:

„Drogie dziecko! Jeżeli list ten dojdzie do twoich rąk, dowiesz się, że jestem niewinny. Ty musisz moją niewinność ogłosić całemu światu. Mnie wierzyć nie chciano. Zaciekli nieprzyjaciele sprzysięgli się, aby mnie zgubić. Jest człowiek, który wie wszystko, który wszystkie dowody ma w rękach. Musisz tego człowieka za jakąkolwiekbądź cenę odnaleźć. Ale co się z nim stało, gdzie się znajduje — nie wiem. Liczę na twoją miłość synowską, Jerzy, i wiem, że nie spoczniesz, aż tego człowieka odnajdziesz“.

Rigolo urwał. List począł nagle drżeć w jego ręce.

— Dlaczego pan nie kończysz? — zawołał Jerzy. — Czytaj pan, czytaj, tam jest nazwisko. Chcę je znać.

— To straszne — straszne Rigolo. — To... to jest hrabia de Senneterre!

— Wielki Boże! Ojciec Heleny!

— Ofiara z ulicy Monge! Rozumiesz pan?

Jerzy schylił głowę i milczał.

— A więc hrabia wiedział wszystko! — zawołał ajent. — Wiedziano o jego powrocie i przygotowano wszystko, aby nie mógł nic zeznać. Nawet walizę podróżną usunięto, bo w niej zapewne znajdowały się dowody niewinności hrabiego de Torella.

— Ale kto jest winowajcą?! — zawołał Jerzy. — Jakże zmusić go, by się przyznał do popełnienia zbrodni?

— Jest sposób. Jutro hrabia de Tournelles, Brzuchacz, żona Jakóba Mayot i nawet Lea będą aresztowani.

— Czy to możliwe?!

— Przekona się pan. Pomówimy z Buvardem.

W tej chwili wszedł służący.

— Co tam? — zapytał Jerzy.

— Jakaś kobieta pragnie się z panem hrabią widzieć. Zdaje mi się, że to jest panna służąca panny de Senneterre.

Jerzy zamienił z Rigolem znaczące spojrzenie.

— Wprowadź!

Młoda kobieta weszła. Była to w istocie pokojowa Heleny. Była blada i zmięszana. Nie zwracając uwagi na Rigola, podeszła wprost do Jerzego.

— Proszę wybaczyć, panie hrabio — szepnęła — ale stała się rzecz niezwykła tej nocy. Jestem niespokojna, obawiam się nieszczęścia.

— Nieszczęścia!? — zawołał Jerzy. — Czy stało się coś pannie de Senneterre?

— Panie hrabio, była godzina jedenasta wieczorem, wszyscy w willi już spali. Zabierałam się do rozbierania panny Heleny, gdy w tem usłyszałam w oranżeryi jakiś szum. Był to stary lokaj hrabiego, który z tajemniczą miną wręczył mi list dla panny Heleny. Panna Helena po przeczytaniu zbladła i wybuchnęła łkaniem.

— Od kogo był ten list?

— Od ojca panienki, hr. de Senneterre.

Nastała chwila głębokiego milczenia. Jerzy czuł, że traci przytomność. Spojrzał na Rigola rozpaczliwym wzrokiem.

— Co było w liście?

— Hrabia pisał, że powrócił do Paryża, ale dla wyższych powodów nie może się zgłosić do willi Senneterre i że pragnie uściskać swoje dziecko. Osoba, która list oddała, miała czekać w powozie niedaleko willi.

— I co uczyniła Helena!?

— Nie zawahała się na chwilę.

— Nieostrożna! — wtrącił Rigolo.

— Towarzyszyłam jej do powozu. Była godzina jedenasta. Panienka do tej pory nie wróciła.

— Ależ to obydna zasadzka! — zawołał Jerzy. — Boże, Boże! W jakie ona ręce wpadła!

— Więc sądzi pan, że list nie pochodzi od hrabiego? — zapytała pokojowa.

— Biedna Helena, nieszczęśliwe dziecko! — jęczał Jerzy. — Zgubiona dla mnie na zawsze, zgubiona!

Rigolo do tej pory milczał.

— Spokojnie, panie hrabio — rzekł. — Nie jest tak źle, jak pan przypuszcza.

— Ależ ona jest w rękach najnikczemniejszych nędzników, którzy ją zamordować mogą, by nasycić swą brutalną zemstę — zawołał Jerzy.

— Nie wierzę w to — odpowiedział Rigolo potrząsając głową. — Co zyskaliby na tem? Przypuszczam, że panna Helena jest u nich jako zakładniczka i że zatrzymują ją nadto dla własnego bezpieczeństwa. Wiedzą, że nie przedsięweziemy żadnych gwałtownych kroków, dopóki ona znajduje się w ich rękach.

— Ale cóż uczynimy wobec tego?

— My! doprawdy że nie wiem. Przedewszystkiem należy się porozumieć z Buvardem.

Przypuszczenia Rigola były bardzo uzasadnione; w jednej chwili odgadł on piekielny plan nędzników, których młoda dziewczyna była ofiarą.

Jerzy również zaczął pojmować, że ukochanej jego nie grozi na razie żadne niebezpieczeństwo i trzeźwo postanowił rozpatrzeć rzecz całą. Noc jednak miał straszną. Zaledwie nad ranem zasnął na krótko, gdy się obudził, dochodziła już godzina 10-ta.

— Nikt się o mnie nie pytał? — zapytał służącego.

— Nikt panie hrabio.

Około godziny dwunastej, niespokojny, udał się do willi Senneterre.

— Chcę się widzieć z hrabią de Senneterre — rzekł Jerzy do lokaja, który wyszedł na jego spotkanie.

— Nie wiem, czy pan hrabia zechce pana przyjąć. Wrócił dopiero z miasta po dłuższej nieobecności — brzmiała odpowiedź.

— Oddaj mój bilet i powiedz, że chodzi o rzecz wielkiej wagi.

Upłynął dłuższy czas od wyjścia służącego, a nikt nie nadchodził. Jerzy zaczął się już niecierpliwić, gdy do pokoju wsunęła się cicho pokojowa Heleny.

Jerzy podbiegł do niej żywo.

— Czy niema jakich wiadomości? — zapytał z niepokojem.

— Żadnych panie hrabio. Nasz pan sam był na policyi i poruszył wszystkich urzędników. Mają czynić poszukiwania.

— Skąd wiedziałaś, moje dziecko, że się tu znajduję?

— Byłam w pokoju panny Ley, gdy służący przyszedł z wiadomością, że ktoś pragnie mówić z panem hrabią. Panna Lea wzięła bilet do ręki i kazała mi tu przyjść.

— W jakim celu?

— Hrabia nie przyjmuje nikogo, ale panna Lea kazała mi powiedzieć, że pragnie się widzieć z panem. Proszę, niech pan hrabia idzie za mną.

Pokojowa zaprowadziła Jerzego do oranżeryi, gdzie czekała już Lea. Młoda kobieta siedziała w głębokim fotelu, owinięta długim, ciemnym szlafrokiem. Wyglądała prześlicznie. Żywe rumieńce zdobiły jej twarz, a oczy ciemne błyszczały gorącym blaskiem.

Wyciągnęła do nowoprzybyłego długą, białą rękę.

— Spodziewałam się pana — rzekła łagodnie. Zapewne w nocy odebrał pan tę straszną wiadomość?

— Tak proszę pani, panna Helena wpadła w zasadzkę. Przyszedłem zapytać pana hrabiego, co uczynić zamierza?

— Hrabia czyni, co może, aby odzyskać siostrzenicę i zapewniam pana, że ten wypadek dotknął go boleśnie.

— Czy niema dotąd żadnych poszlak? Nędznicy ci musieli znać ojca biednej Heleny? Służący, który list odbierał, musiał zapamiętać rysy oddawcy. Oh! proszę pani! Gdybym był na miejscu hrabiego, nie spocząłbym, aż do chwili, w której ci ohydni zbrodniarze musieliby mi wpaść w ręce!

Lea patrzała na wzburzenie Jerzego ze szczególnym wyrazem twarzy.

— Powtarzam panu, że hrabia kazał czynić najenergiczniejsze poszukiwania. Trzeba być cierpliwym panie Jerzy. Helena do nas powróci, a wtedy i pan odzyska spokój i szczęście.

Jerzy przenikliwie spojrzał w oczy młodej kobiecie.

— Pan chce mi coś jeszcze powiedzieć - szepnęła Lea, zmięszana trochę tem uporczywem spojrzeniem.

— Odgadła pani i choćbym miał narazić się pani na całe życie, powiem co myślę; uderzył mnie boleśnie lekki sposób mówienia pani o zniknięciu biednej Heleny. Co to znaczy? Przecież ją pani

kochała, a dziś z takim spokojem przyjmuje fakt okropny, że biedne dziecko znajduje się u niebezpiecznych zbrodniarzy. Przecież to straszne! Czy nie pojmuje pani, na jakie niebezpieczeństwa ona jest narażona? Czy to pani nie wzrusza? Oh, gdy pomyślę o trwodze i męczarniach tej biednej istoty, czuję, że mógłbym się stać okrutnym i mściwym do ostateczności.

Lea, słysząc te słowa, zbladła lekko.

— Pan ma słuszność — szepnęła — położenie jest straszne, ale dlatego właśnie należy być ostrożnym, by nierozważnym krokiem nie powiększyć mąk biednej Heleny. Sądzę, że najrozumniej jest czekać na naturalny bieg wypadków, nie przyspieszając faktów. Czy pan jest innego zdania?

— O tak, tak! — zawołał Jerzy gwałtownie. — To byłoby podłością zostać bezczynnym, biernym wobec tak wstrętnej zbrodni. Jeżeli mi nikt nie pomoże, sam wszystkich starań dołożę, żeby to biedne dziecko wyrwać z tego więzienia!

— Ostrzegam pana, że to gra niebezpieczna. Doprowadzisz ich do ostateczności, a wtedy oni z niczem się liczyć nie będą.

— I o tem już myślałem — rzekł Jerzy kryjąc twarz w dłonie. — Gdyby Helena miała umrzeć, zdaje mi się, że nie potrafiłbym żyć dłużej.

— Zabiłbyś się? — zapytała Lea wzruszona.

Jerzy milczał.

— Żegnam panią — rzekł po chwili.

— Nie, dowidzenia — odpowiedziała Lea. — My musimy się jeszcze zobaczyć. Nie myśl pan źle o mnie i wierz mi, że chyba niezwykle ważne przeciwności mogą mi przeszkodzić w oddaniu ci Heleny.

— Nie rozumiem pani.

— Zrozumiesz pan później. A więc zobaczę pana jeszcze.

— Tak jest, przyrzekam to pani.

Jerzy skłonił się i wyszedł. Na biurku w swoim pokoju zastał list następującej treści:

„Panie hrabio! Donoszę panu, że panna de Senneterre jest w naszych rękach. Byłbym panu bardzo zobowiązanym, gdybyś uwiadomił o tem Buvarda i Rigola i wytłómaczył im, że powinni teraz działać z podwójną ostrożnością. Za pierwszą nieostrożnością z ich strony grozi pannie Helenie wielkie niebezpieczeństwo".

List ten był dość jasny.

Brzuchacz i Roma, porywając Helenę, postąpili w myśl dawno ułożonego programu.

ROZDZIAŁ XX.

Poszukiwania.

Od ostatnich wypadków upłynął pewien czas, a Rigolo i Buvard nie zdołali jeszcze uwolnić Heleny de Senneterre. Pewnego dnia późnym wieczorem wracał Jerzy Beraldi do swego domu. Przechodził właśnie niedaleko kościoła św. Magdaleny i miał już przejść z ulicy na chodnik, gdy głos silny zatrzymał go miejscu:

— Stój! — zawołał ktoś — czy jesteś ślepy obywatelu?

Jerzy się odwrócił. Człowiek dziwnej powierzchowności stał za nim; miał na sobie kurtkę skórzaną, a długie buty zachodziły mu aż za kolana. Na głowie miał rodzaj wielkiej czapki, jakiej marynarze używają w dnie słotne. Był to kanalarz. Oparty na miotle stał nad otwartą paszczą kanału. Gdyby nie jego wołanie, Jerzy byłby niewątpliwie wpadł w otwarty dół. Jerzy podziękował mu serdecznie, wyjął z pularesu sztukę złota i chciał ją ofiarować robotnikowi.

— Dziękuję panu — rzekł tenże z ironicznym uśmiechem. — Zawód mój ciężki, lecz dzięki Bogu wystarcza mi na życie. Jeżeli pan jest już tak łaskaw, to prosiłbym o coś innego. Oto trafiki wszystkie są już zamknięte o tej godzinie i gdyby pan miał papierosika...

Jerzy szybko sięgnął do papierośnicy.

— Nie mam papierosa — rzekł uśmiechając się — ale za to mogę pana poczęstować dobrem cygarem.

Kanalarz nie dał się prosić.

— A teraz w drogę — rzekł. — A na przyszłość, panie hrabio, patrz dobrze pod nogi.

Jerzy stanął na chwilę zdumiony.

— Panie hrabio?...

Kanalarz powiedział „panie hrabio". Czyż go znał? Jerzy zaciekawiony niezwykłem spotkaniem powrócił do domu.

W Paryżu jedną z ulubionych rozrywek mieszkańców jest zwiedzanie kanałów. Zwiedzanie odbywa się nawet za wstępem, a kolej i statek przewożą zwiedzających. Szeroki otwór głównej sali wychodzi na Sekwanę; tuż przy wejściu w ścianie umieszczone jest małe biuro dla urzędników. Korytarze oświetlone są rozlicznemi lampkami. Zwiedzający przybywają otuleni w duże płaszcze z kapturami, by uchronić się od panującej tam wilgoci. Panuje tam ruch jak na wielkiej stacyi kolejowej.

Pewnego dnia czekano na spóźnionych gości przed odjazdem pociągu. Lampy świeciły jasno w wagonach i oświetlały ławki z białego drzewa. Pociąg był przepełniony pasażerami.

— Czy mam dać ostatni sygnał? — zapytał urzędnik naczelnika.

W tem dało się słyszeć wołanie:

— Czekajcie, czekajcie! — i człowiek jakiś, nie zważając na nikogo, wbiegł pędem do jednego z wagonów. Był ubrany w obszerny płaszcz, czapka, zachodząca po uszy, zakrywała mu twarz.

— Ah, to Amerykanin — zawołał ktoś z jadących. — Ten nie opuszcza ani jednej jazdy.

Rozległ się odgłos gwizdawki. Pociąg ruszył. W połowie krótkiej drogi od Chatelet do św. Magdaleny podróżni przesiedli się na placu Zgody z wozu na łodzie i płynąc odbywali resztę drogi. Nikt nie zauważył, że Amerykanin nie wsiadł do łodzi, lecz pozostał na brzegu. Chwilkę poczekał, aż ucichły głosy oddalających się pasażerów, poczem wyszedł z kryjówki, w której się zatrzymał. Ale zaledwie postąpił kilka kroków, gdy z za węgła muru wychyliła się jakaś postać.

— Oh, zawołał Amerykanin — więc i ty tu pozostałeś?

— A tak, milordzie — odpowiedział kanalarz. — I przyznaję się, że zostałem dla pana.

— Dlaczegoż to?

— Bo obawiałem się zostawić pana samego w takiem miejscu. To niebezpieczna rzecz.

— Tak pan sądzi? Chciałem zobaczyć...

— No, to pan będzie oglądał ze mną razem.

— Właściwie nie potrzebuję przewodnika — rzekł Amerykanin. My, Amerykanie, jesteśmy ludzie nieustraszeni. Ale skoro pan ofiarowuje swoje usługi, to przyjmuję je z wdzięcznością.

— A zatem pozwoli się pan oprowadzić?

— All right.

* * *

Nasi dwaj podróżni weszli odważnie w ciemne korytarze. Zdala dochodził plusk wody. Panował tu mrok, oświetlony jedynie kilkoma otworami z góry. Amerykanin oglądał wszystko z ciekawością.

— O, widzi pan — mówił kanalarz — tu są druty telegraficzne, owinięte w gutaperchę.

— A co znaczy ten gwizd, który słyszę?

— Jest to wózek miedziany, przechodzący przez długą tubę i zawierający depesze, ekspedyowane przez telegram pneumatyczny.

— To naprawdę przedziwne — rzekł Amerykanin.

Po dobrej godzinie Amerykanin spojrzał na zegarek i zaświecił zapałkę.

— Już trzecia godzina — rzekł i spojrzawszy na kanalarza spotkał się z jego przenikliwem spojrzeniem.

— A, już późno — rzekł — wyjdźmy. Ale chciałbym wynagrodzić panu jego usługi.

Ręką sięgnął do kieszeni po portmonetkę.

— Ciężki jest zawód pański — mówił dalej — można łatwo wpaść w ten kanał cuchnący, noga może się pośliznąć i gdybyś pan miał złośliwego towarzysza, mógłbyś być kiedyś zgubiony.

Głos Amerykanina zmienił się przy tych słowach, stawał się drwiący i złośliwy. Nagle niespodzianym ruchem pchnął biednego kanalarza w dół. Równocześnie wyciągnął rewolwer i wystrzelił kilka razy w powietrze. Woda w tem miejscu na szczęście nie była bardzo głęboka. Kanalarz oprzytomniał po chwili i z trudem wyskoczył na brzeg.

— Ah, nędzniku! — zawołał. — Zapłacisz mi za to!

W tej samej chwili coś poruszyło się w cieniu. Kanalarz w przekonaniu, że to jego napastnik, rzucił się z całej siły naprzód i uchwycił domniemanego Amerykanina za gardło.

— A to co? — rozległ się głos spokojny. — Co ci się stało, mości Rigolo? Puszczaj mnie, bo mnie dusisz.

— Buvard! — krzyknął zdziwiony pseudo-kanalarz.

— Tak, Rigolo, mój przyjacielu. My zawsze się gdzieś spotkać musimy.

— Widziałeś pan wszystko?

— Widziałem i słyszałem.

— Ah, ten nędznik!

— Nie irytuj się, mości Rigolo. Wracajmy do domu, jesteś przemoknięty i przyznam ci się, że zapach, który wydzielasz, pozostawia wiele do życzenia.

— Ale on, on! Ten Brzuchacz!

— Zostaw go na razie w spokoju.

Ajenci zwrócili się ku wyjściu, nagle Rigolo przystanął.

— Patrz pan, patrz! — zawołał. — Widzisz tego człowieka? Nie poznajesz go? Zdaje się, że to Jerzy Beraldi.

Mówiąc to Rigolo przybliżył się do nieznajomego.

— To pan, pan? — zawołał Jerzy zdziwiony.

— To ja więcej dziwić się powinienem, spotkawszy tu pana — odparł Rigolo.

— Oh! Ja... — rzekł wymijająco Jerzy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



— Ach nędzniku! — zawołał — zapłacisz mi za to!

Śmiertelny pojedynek dwóch kobiet.

Nadzwyczajne wrażenie wywołała we Lwowie wieść o pojedynku dwóch młodych dziewcząt, z których jedna zginęła na polu walki. Do tego szalonego czynu doprowadziła je nieszczęśliwa miłość, jaką obie żywiły do pewnego kapitana. Miłość ta nie była powszedniem uczuciem, kiedy rozwiązania konfliktu swych serc szukały aż we wzajemnej śmierci. Pracowały wspólnie we filii wiedeńskiej firmy spedycyjnej „Caro i Jellinek“. Jedna z nich cicha, spokojna, druga wesoła zawsze, uśmiechnięta, pędziły życie w radości, aż naraz smutek zasępił ich czoła. Poczęły wzajemnie się unikać, przerwały się zwierzenia ich, zdawało się, iż każda z nich kryje jakąś tajemnicę. Stan ten trwał pewien czas, lecz wreszcie przyjaźń wzajemna przemogła i zwierzyły się sobie, że kochają. Chwila tych wynurzeń była jednak dla nich największem nieszczęściem. Przekonały się bowiem, że obie kochają jednego



Smiertelny pojedynek dwóch kobiet: Zofia Mannerówna.

i tego samego mężczyznę. Stanęły w osłupieniu przed sobą, błagając się wzajemnie o litość dla serc swoich, lecz żadna nie mogła zrzec się swych praw do kochania. Postanowiły więc ten spór miłosny rozstrzygnąć pojedynkiem.

Za teren walki wybrały polankę w lesie Krzywczyckim, pod samym Lwowem, do którego udały się w towarzystwie koleżanki, mającej pełnić obowiązki sekundanta. W ostatniej chwili, gdy z miasta ruszyły na pole spotkania, trwoga ogarnęła biedne serca, żal za życiem, lęk przed śmiercią. Odwagi im nie stawało, dla dodania więc sobie animuszu chwyciły się ordynarnego środka wyczytanego z jakiegoś romansu; wstąpiły po drodze na wódkę, którą się silnie podnieciły. W stanie tym raźno przystąpiły do spełnienia swego zamiaru. Towarzyszka ich odliczyła kroki, wyznaczyła miejsca i podała broń do ręki. Chwila ciszy i padły strzały, z których jeden był śmiertelny. Reiterówna



Szkoła dla policyantów: Specyalny nauczyciel wykłada policyantom, jak należy się zachowywać w niektórych zajściach z publicznością.

trafiona kulą w skroń, padła na ziemię, a następnie przewieziona do szpitala skończyła w kilka godzin życie. Przeciwniczka wyszła cało z tego spotkania, kula bowiem Reiterównej trafiła w guzik stanika Mannerównej, poczem straciwszy swą siłę ześlizgnęła się na ziemię, nie raniąc jej wcale.

Szkoła dla policyantów.

Do obowiązków swych każdy musi być uzdolniony odpowiednio, to też szefowie policyi zagranicą nie zadawalniają się rekrutowaniem policyantów z żołnierzy i wyznaczaniem im stanowisk na rogach ulicy, lecz wybierają ludzi inteligentnych, o pewnem wykształceniu, którzy rozumiejąc swoją rolę są zawsze tam, dokąd ich wzywa potrzeba opieki nad dobrem publicznem. Przyznać należy, że ludzie ci są odpowiednio do swej inteligencyi wynagradzani, dostępują awansów wraz z powiększeniem płacy, zajęcie ich spotyka się z uznaniem społeczeństwa, tak iż nie wyczekują tej chwili, kiedy po odsłużeniu kilku lat służby zostaną kancelistami, pozbywając się pogardzonego munduru policyjnego. Jedną z charakterystycznych cech policyi za granicą jest to, iż w miastach tamtejszych na posterunkach ulicznych nie spotyka się wcale policyantów młodych, jak u nas, lecz wszyscy są już w pewnym wieku; wnioskować można, iż zanim powierzono policyantowi ważne zadanie utrzymywania porządku na ulicy, przeszedł on już przez szkołę życia i swego zajęcia, wskutek czego stał się najodpowiedniejszym do swej służby. Nie słyszy się też tam nigdy o kłótniach i walkach publiczności z policyantem.

Obecnie w Paryżu prefekt policyi tamtejszej p. Lepine, chcąc jeszcze lepiej przysposobić policyantów do ich obowiązków, zwłaszcza aby mogli służyć pomocą cudzoziemcom, nie znającym miejscowego języka, założył szkołę języków obcych. Ci dojrzali uczniowie, jak to przedstawiają nasze ryciny, uczą się danego języka metodą poglądową, poczem wychodzą na posterunek policyjny z naszywką na rękawie, przedstawiającą herb kraju, którego językiem władają. Człowiek taki może rzeczywiście oddać wielkie usługi przejezdnej publiczności.



Smiertelny pojedynek dwóch kobiet: Zabita w pojedynku Augusta Reiterówna.

U nas niestety policya nie stoi jeszcze tak wysoko i dużo czasu będzie potrzeba, aby poziom tej instytucyi odpowiadał istotnym potrzebom mieszkańców.



Szkoła dla policyantów: Wykład języków obcych, zastosowany w celach praktycznych.

Nowe małżeństwo Wölflinga.

(Do ilustracyi na stronie 4).

Równocześnie prawie, gdy b. małżonka króla saskiego, hr. Montignoso, wstępowała w związki małżeńskie z pianistą Tosellim, brat jej, Leopold Wölfling, b. arcyksiąże, zakończył sprawę rozwodową ze swą pierwszą małżonką Adamowiczówną

i powtórnie się ożenił, tym razem z byłą panną sklepową, Maryą Magdaleną Ritterówną.

Już w czasie procesu rozwodowego krążyły pogłoski o nowym romansie Wölflinga, który — zdaje się — cierpi na zboczenie umysłowe tego samego rodzaju, co jego siostra, pani Toselli. Pogłoskom tym nie dawano jednak początkowo wiary. Tymczasem sprawdziły się one i Wölfling rozszedłszy się z śpiewaczką tinglową, poślubił córkę wyrobnika, która przez jakiś czas zajętą była w sklepie, jako kasyerka.

Trudno przypuszczać, by b. arcyksiąże znalazł szczęście w nowym związku, tem bardziej, że o przeszłości drugiej jego małżonki głoszą jej znajomi bardzo kompromitujące szczegóły. I nie będzie niespodzianką, gdy za kilka miesięcy świat dowie się o nowym skandalu p. Wölflinga, o rozejściu się „zakochanych“ małżonków, a o nowym romansie b. arcyksięcia.

Kronika tygodniowa.

Berliński proces Hardena ma tę dobrą stronę, że w sposób poglądowy, krótko i jasno, zapoznaje nas z ideałami i obyczajami tej części arystokracyi niemieckiej, która otacza tron cesarza Wilhelma. Trzebaby długo bawić w Niemczech, mieć rozległe stosunki, wiele czytać, wiele badać, zanimby można było dojść do tych rezultatów, do jakich doszliśmy w ciągu tygodnia z przeglądania pobieżnych sprawozdań z procesu berlińskiego. Przed oczami naszemi odkryły się najtajniejsze drgnienia serca księcia Eulenburga, hrabiów Hohenaua, Lynara, Moltkego itd. i całego zastępu generałów pruskich. Na ich „Tafelrundzie“ zasiadali książęta Fryderyk Leopold, Fryderyk Henryk, a niektórzy świadkowie twierdzili, że i te wysoko postawione osoby miały być obecne w chwilach bardzo drażliwych, co do których sąd zasięgał wiadomości na posiedzeniach tajnych. Ks. Eulenburg był zaufanym doradcą cesarza, u niego na Liebenbergu wymierzano ciosy w kanclerzy państwa: Bismarcka, Capriviego, Hohenlohego, u niego układano plany i programy polityczne, u niego może i Hakata otrzymywała błogosławieństwo na drogę zaszczytnej walki przeciw Polakom. Hrabia Hohenau, syn księcia Albrechta pruskiego, był generałem á la suite przy cesarzu, hr. Kuno Moltke przybocznym adjutantem monarchy.

Co do mnie, stoję po stronie hr. Moltkego. Naprzód już dlatego, że jak znawca Hirszfeld twierdził, Fryderyk wielki i Fryderyk II też kochali płeć męską — a któżby znowu nie kochał tych Fryderyków? Następnie obrońca Moltkego, Gordon, wyjaśnił, że klijent jego padł ofiarą istniejących stosunków. „Mnóstwo osób jest u nas podejrzanych o to samo — mówił ten obrońca — bo nikt nie może ochronić się od podejrzenia, kto nie utrzymuje dwóch albo trzech kochanek“. To świadectwo moralności, wystawione arystokracyi niemieckiej, jest jedną z najcenniejszych zdobyczy procesu, powiedziałbym nawet najcenniejszą, bo ludzi anormalnych jest mniejszość, bo tych anormalnych można uważać za upośledzonych, za kaleków, o niektórych z nich można powiedzieć, co powiedział znawca dr. Hirszfeld o Moltkem, że mamy do czynienia ze skłonnością „niezawinioną, przyrodzoną“ — ale ta cała arystokracya w państwie „miłości Bożej i dobrych obyczajów“, która musi mieć po kilka utrzymanek, bo inaczej jest podejrzywaną o zboczenie płciowe, to przecież wspaniały snop światła na moralność Prusaków.

Ale zboczyłem nieco od przedmiotu, wpadłem w pisanie „seryo“, a miałem wytłómaczyć dlaczego bronię hr. Moltkego, a raczej pragnę osłabić ten brak sympatyi, jaki go spotyka. Wyraził się on, że małżeństwo to świństwo. Nie jest to grzecznie powiedziane, to prawda, ale proszę państwa, ja słyszałem wielu panów małżonków (co prawda mieli też ananasy w domu!), którzy byli tego samego zdania, a nawet mówili, że tylko waryat żenić się może, a nikt ich za to nie pozywał przed sądy. Dalej nie podają sprawozdania opisu zewnętrznej powłoki i wewnętrznych skarbów serca pani Kruse-Moltke von Elbowej, rozwiedzionej małżonki Moltkego, która tak fatalnie stwierdziła jego antifeminizm. Trzebaby ją naprzód zobaczyć, aby ocenić, czy nie miał Moltke słuszności, jeżeli trzeciego dnia po ślubie (jak ona twierdzi), czy też w trzy kwartały po ślubie (jak on znowu zaręcza) uznał za stosowne z jej objęć wycofać się z honorem. Jestto zresztą niewiasta trzechmężowa, a do takich, proszę mi darować, czuję zawsze pewne uprzedzenia. Dalej, zważcie państwo, że zamek ks. Eulenburga nazywa się Liebenberg — wprawdzie nomen omen, ale kto przebywa na „górze miłości“, ten mimowoli może dostać zawrotu głowy i stać się... anormalny. Wszak na tej górze wszystko tchnęło miłością, wszak tam cesarza Wilhelma nazywano „Liebchen“. Więc cóż dziwnego, że kółko takich przyjaciół udzielało sobie najczulszych dowodów miłości? Cóż dziwnego, że hr. Moltke całował chustkę od nosa ks. Eulenburga (przypuszczam, że była perfumowaną i nieużywaną) i szeptał: „moja ty duszo! mój ty jedyny daksie!“ W czasach, gdzie przyjaźń, jak to twierdzą wszyscy poeci i reporterzy, stała się mytem, czyż nie należy skłonić głowy przed takim dowodem jej istnienia? I was szlachetni ludzie, was Kastorze i Polluksie XX wieku jeszcze oskarżają, ciągną pod pręgierz opinii!...

I jeszcze jedno. Wiadomo, że dzięki Bismarckowi Niemcy utracili wiele ze swego dawnego charakteru, że gdyby ich wielcy poeci i filozofowie z początków XIX w. powstali z grobu, toby nie poznali swoich współziomków. Miłość do wolności zastąpili miłością do żołnierzy. Czy to źle, czy dobrze, nie chcę roztrząsać, ale stwierdzam sam fakt. Ta miłość do żołnierzy rosła i rosła, aż urosła w olbrzyma. Wszystko, co „żołnierskie“, stało się ukochanem, a że gwardya, to wybór żołnierzy, więc jest w porządku, że na każdego patryotycznie usposobionego Niemca, a raczej Prusaka, muszą rozkosznie działać „białe irchowe spodnie“. Mądrej głowie, dość dwie słowie, więc dalej tej myśli rozwijać nie będę.

Dodaję wreszcie, że odczuwam w całej tej sprawie intrygę kobiecą. Mądrej głowie dość dwie słowie.

A i to jeszcze zaznaczę, że z naszego stanowiska powinniśmy przyklaskiwać całej tej eulenburskiej trzodzie. A niechby się mnożyła — to przyrost Prusaków będzie mniejszy.

Nad zmniejszeniem tego przyrostu pracują oni i na innem polu. Podałem niedawno cyfry, wykazujące ilość przejechanych w Niemczech przez automobile. W ostatnich dniach nietylko kanclerz Bülow, ale i ks. Fryderyk Eitel przyczynili się do powiększenia tej statystyki. Książe Bülow okazał się nawet tak wspaniałomyślny, że posłał wieniec na trumnę staruszki, którą na śmierć przejechał. Szczęśliwa! czy kiedy w życiu marzyła o tem, że taki dostojnik kwiaty na grobie jej złoży?

Nie z kwiatami, ale z gałązką pokoju wystąpił do Prusaków p. Turno. Przyrzeka im, że Polacy będą bardzo grzeczni, bardzo lojalni, bardzo kochający, bardzo o ojczyznę niemiecką dbający, jeżeli rząd przestanie myśleć o wywłaszczeniu. Zdanie pana Turno nie jest odosobnione, bo i innych kilku panów wyraziło chęć wstąpienia na drogę lojalności, a między nimi i pan Mańkowski, wnuk czy prawnuk tego Henryka Dąbrowskiego, pod którego sztandarami pierwszy raz zabrzmiała pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Zdaje się, że ci panowie nie fizycznie, ale umysłowo cierpią na zboczenie à la Eulenburg-Moltke i objawiają „skłonność niezawinioną, przyrodzoną“ do lokajstwa i do erotycznych stosunków z gatunkiem, który u normalnych Polaków wstręt budzi. Bądź cobądź zanosi się na drugą edycyę polityki ugodowej, na której Wielkopolanie tak się już sparzyli, choć prowadzili ją w czasach sprzyjających (tak się przynajmniej zdawało) temu kierunkowi. Ale naiwnych nigdy nie braknie. Zawsze znajdą się wierzący w zgodę między myszą a kotem, owcą a wilkiem. Tylko i naiwność powinna mieć granice. Trzeba być zupełnie ślepym, aby nie widzieć, że polityka pruska dąży konsekwentnie do wytępienia polskości i że z tej drogi się nie cofnie. Więc należałoby raz takim panom Turnom wytłómaczyć, żeby nie kompromitowali siebie i społeczeństwa.

Ale wszystko to głupstwo wobec tego, że pani Toselli pojawi się w Warszawie. Na tę wiadomość zamówiłem sobie natychmiast paszport, bo pragnę być świadkiem tej uroczystej chwili dla syreniego grodu. Naturalnie pani Tosellowa (piszemy poprawnie po polsku) zawita do Warszawy jako towarzyszka swego małżonka, który wystąpi jako słynny (!) pianista. Gdzie wystąpi, dodawać nie potrzebuję. Kto zna pana Rajchmana, ten wie, że zanim się urodzi jaka znakomitość (!), to on już angażuje ją do Filharmonii. Instytucyę tę stworzono dla Izadory Duncan, Artemizy Colonny, dla opery dzieci hiszpańskich, dla koncertów „na ciemno“ i dla Tosellich. Coby dał za to p. Rajchman, gdyby tak chcieli w Filharmonii zagrać na cztery ręce hr. Moltke z panem na Liebenbergu. Hr. Moltke, jak wiadomo, jest kompozytorem i „całą duszą“ obcował muzycznie z ks. Eulenburgiem (c'est le tout, qui fait la musique!) Ale kiedy nie można mieć tej najgłośniejszej dziś pary muzykalnej, niech będą choć pp. Tosellowie. Tylko radzę maestrowi, aby pilnował swej małżonki, bo teraz w Królestwie, zwłaszcza na kolejach, bandyci porywają damy i zwracają uszkodzone.

Bandytyzm istnieje i w... Bawaryi, tylko objawia się w innych formach. Tamtejsi bandyci, będący zarazem właścicielami browarów, podnieśli cenę piwa o feniga na litrze. Tak w sposób pokojowy, bez użycia brauningów, chcieli obrabować obywateli. A że jeden bandytyzm robi drugi, więc pp. restauratorzy zamiast feniga, postanowili od publiczności brać po dwa fenigi więcej na litrze. To podrożenie niezbędnego dla monachijczyków artykułu do życia, wywołało olbrzymie oburzenie. Przypominamy, że przed laty 50 o mało z tejże samej przyczyny nie przyszło w Monachium do wybuchu rewolucyi. Tym razem chwycono się nowoczesnego środka: ogłoszono strejk piwny. Organizacye robotnicze wydały polecenie, aby ich członkowie wstrzymali się od picia piwa, na razie na jeden tydzień. Ogół poparł tę akcyę, dając świetny przykład poświęcenia się dla idei. Ten chyba tylko nie zrozumie tego poświęcenia, kto nie zna Bawarczyków, kto nie wie, że jak ryba bez wody, tak on nie wyżyje bez piwa (wszak od piwa bawarskiego nazywają się bawarczykami). 47.000 robotników usłuchało tego polecenia. Obliczono, że wskutek tego sprzedaż tygodniowa piwa zmniejszy się w Monachium o 13,000 hektolitrów, co przedstawia ładną sumkę 400.000 marek. Monachijczycy chodzą smutni, na twarzach ich widać wyryte cierpienia — ale piwa nie piją.

Przykład ten powinien być nauką i dla nas w stosunku do pp. rzeźników. Przed kilku miesiącami proponowałem na tem miejscu strejk mięsny, któryby naszych „nożowców“ nauczył rozumu, nie chciałem nawet strejku ogólnego — pisałem, że dość byłoby, abyśmy zaczęli ściśle obserwować posty w dawnym ich rozmiarze, a panowie rzeźnicy zmiękną. Oto w samym grudniu i podczas adwentu, mamy postów i suchych dni kilkanaście. Straty dla zdrowia nie będzie żadnej, bo hygieniści stanowczo twierdzą, że dużo potraw mięsnych szkodzi zdrowiu. Sprobujmy, boć przecie trzeba położyć koniec tej lichwie. Bydło ogromnie potaniało, a ceny mięsa albo utrzymały się, albo spadły bardzo nieznacznie. Jaki zarobek mają panowie rzeźnicy, daje miarę fakt, że we Lwowie dostarczają wojsku kilogram za 1 kor. 6 h., a od publiczności biorą za ten sam gatunek po 1 kor. 52 halerze. A przecież chyba nie tracą na dostawie dla wojska! Jeżeli urządzają rzeź naszych kieszeni, nie bądźmy cielętami, dającemi się na rzeź prowadzić.

Od Redakcyi.

W Nr. 39 naszego pisma przynieśliśmy szereg portretów w znanej aferze rzekomej hr. Morpurgo z p. Orłowskim a zarazem objaśnienie w artykuliku pt. „Brylantowa narzeczona“, zaczerpnięte na podstawie wiadomości, podanych przez inne pisma.

Obecnie zwrócił się do nas p. Franciszek Dembowski listownie z oświadczeniem, że podane przez nas wiadomości co do niego, a zaczerpnięte przez nas z innych pism, polegają na błędnej informacyi, albowiem nigdy w towarzystwie p. Morpurgo nie przebywał i pani tej zupełnie nie zna — co jak najchętniej czynimy.

Redakcya.

Wesoła małpa.

(Do illustracyi na stronie 10).

Na stały pobyt do cesarskiego zwierzyńca w Schönbrunnie przybył obecnie z dalekich stron niezwykły lokator. Jegomość ten od pierwszych chwil przyjmuje całe masy gości, którzy wizyty swe często powtarzają, by jak najbardziej nacieszyć się zamorskim przybyszem. Przyjechał on do Schönbrunnu ze swej ojczyzny, z wyspy Borneo; nazywa się „Hansi“, należy zaś do rodziny orangutanów, czyli po naszemu „leśnych ludzi“. Jest to gatunek małp człekokształtnych, o głowie krótkoczaszkowej, małych uszach, pysku przedłużonym i bardzo długich przednich kończynach, sięgających prawie do stóp. Małpy te odznaczają się niezwykłą pojętnością, bardzo łatwo dają się tresować, tak iż można je bez trudu przyuczyć ludzkiego trybu życia. Żyją przeważnie na drze-

wach, budując sobie wielkie gniazda na wysokości nawet 15 metrów nad ziemią. Śpią w postaci leżącej, nakrywając się liśćmi.

W ostatnich czasach sprowadzają orangutany do Europy w wielkiej liczbie dla celów na-



Obrabowanie banku w Krakowie: Kantor Braci Eibenschütz w Rynku gł.

ukowych. Z powodu swego ustroju człekokształtnego nadają się orangutany do doświadczeń, których nie można czynić na człowieku.

Obrabowanie banku w Krakowie.

Sensacyą dnia stał się w Krakowie wypadek niesłychanie śmiałego włamania oraz rabunku, dokonanego z całą maestryą w samem śródmieściu, bo na rogu Rynku i ul. Siennej. Ofiarą padł mianowicie dom bankowy i kantor wymiany braci Wilhelma i Leona Eibenschützów. W nocy z poniedziałku na wtorek wtargnęli nieznani na razie sprawcy do niezajętego chwilowo mieszkania, położonego na I. piętrze, tuż nad owym kantorem bankowym, a znalazłszy się w pokoju środkowym, wywiercili specyalnymi świdrami kawał parkietowej posadzki, wyjęli ją na przestrzeni pół metra kwadratowego, następnie wydobyli cegły ze sklepienia i przez otwór w ten sposób powstały spuścili się do wnętrza sklepu. W dalszym ciągu rozbili wielką kasę wertheimowską, wywierciwszy w niej znowu za pomocą specyalnych narzędzi 3 otwory, a dostali się przez nie do zamków.

Dalsza „praca“ poszła im łatwo. Wypróżnili poprostu całą prawie kasę, zabierając jej zawartość, przedstawiającą sumę około 50 do 60 tysięcy koron. Z tego na gotówkę w rozmaitej monecie przypada przeszło 7000 kor., reszta zaś na papiery wartościowe. Ponadto zabrali złodzieje około 50 kopert z depozytami osób obcych; zawartości tych kopert depozytowych właściciele kantoru nie znają. Po obłowieniu się tak wspaniałym łupem, rzezimieszki opuścili lokal kantoru tą samą drogą, którą doń wtargnęli.



Obrabowanie banku w Krakowie: Kasa w kantorze Eibenschützów z wywiercone m trzema dziurami, z której zrabowano całą zawartość.

Następnego dnia rano stwierdzono śmiały rabunek, a policya, zawiadomiona o tem, rozpoczęła natychmiast gorączkowe śledztwo, które może doprowadzi do wykrycia winnych. — Już dziś jednak można powiedzieć, że czeka policyę zadanie niezmiernie trudne. Wykonanie włamania wykazuje, że sprawcy byli fachowymi złodziejami, o wysokiej kulturze zawodowej. Zastosowali w swem przedsięwzięciu wszystkie najnowsze, najbardziej udoskonalone narzędzia, jakie stoją na usługi techniki złodziejskiej, dziś, jak wiadomo, bardzo wysoko rozwiniętej. Potrafili też bardzo sprytnie zatrzeć wszelkie ślady po sobie, zostawiając na miejscu tylko flaszeczkę z karbolem, oraz pudełko tulskie z zapałkami. Jednem słowem włamanie do kantoru Br. Eibenschützów dokonane zostało prawdziwie po europejsku i krakowski świat złodziejski może być z tego dzieła dumnym.



Obrabowanie banku w Krakowie: Wyłom w podłodze I. piętra, którędy włamywacze dostali się do kantoru.

Miła zabawka.

Jedną z najstarszych gier, szczególnie przez młodzież w wielu krajach ulubioną, jest od wielu lat gra „diabolo“; u nas dotąd nie weszła ona prawie w zwyczaj i spotkać się z nią można bardzo rzadko. Towarzyska ta zabawa polega na tem, iż biorący w niej udział podrzucają sznureczkiem, umocowanym do dwóch lasek, drewniany, specyalnie do tego celu sporządzony krążek, bokami wcięty w ten sposób, iż tworzy rodzaj podwójnego lejka. Krążek ten, wyrzucony jakby z procy, leci



Miła zabawka: Dziatwa grająca w »diabolo«.

z wielką chyżoś cią, a współgrający dążą do tego, by chwycić go na swój sznureczek, a następnie dalej podrzucić. Wymaga to więc pewnej wprawy i zręczności. Ze względu na to, że uczestnicy gry dużo się przytem ruszają, jest zabawa „diabolo“ wielce hygieniczną i zasługuje na szerokie rozpowszechuienie.

w obecnych społeczeństwach nowe ideały, jedynego boga — pieniądz i jedyne szczęście — rozkosz płciową. Walka o pieniądz, by za niego zdobyć najwyższą sumę uciech cielesnych — oto hasła nowoczesnego postępu szerokich mas. Zdaje się, że jesteśmy na przełomie świata starożytnego, kiedy zanikło wszystko, co szlachetne, kiedy cnota pada w kałuże błota, kiedy zbrodnia zasiewa całe zagony ludzkości, a społeczeństwa wpatrują się błędnemi oczyma w przyszłość, oczeknując dla siebie wybawiciela. A dno rozpusty obniża się, by nowe ofiary pochłonąć.



Powodzie we Włoszech: Miejscowość Pallanza, nad Lago Maggiore, w czasie powodzi.

Krwawy dramat w Warszawie

(Do illustracyj na stronie 9).

Rozuzdanie namiętności, targowanie miłością, wystawianie wszelkich cnót na rynek pieniężny, gdzie zdobywa ten, kto więcej płaci, wytworzyły w obecnych społeczeństwach nowe ideały, jedynego boga — pieniądz i jedyne szczęście — rozkosz płciową. Walka o pieniądz, by za niego zdobyć najwyższą sumę uciech cielesnych — oto hasła nowoczesnego postępu szerokich mas. Zdaje się, że jesteśmy na przełomie świata starożytnego, kiedy zanikło wszystko, co szlachetne, kiedy cnota pada w kałuże błota, kiedy zbrodnia zasiewa całe zagony ludzkości, a społeczeństwa wpatrują się błędnemi oczyma w przyszłość, oczeknując dla siebie wybawiciela. A dno rozpusty obniża się, by nowe ofiary pochłonąć.

„Gdybyś w stosunek nasz po za dążeniem czysto seksualnem włożył kawałek serca, bylibyśmy szczęśliwi“, tak pisała po raz ostatni Kuźmierkówna do swego kochanka Przysieckiego; lecz dla niego miłością było tylko zaspokojenie popędu płciowego.

Przystojny, trzydziestoletni Kazimierz Przysiecki, właściciel składu papieru na Krakowskiem Przedmieściu w Warszawie, był jednym z rycerzy miłości, którzy nie zadowalają się jednem zwycięstwem, lecz ciągle czynią nowe podboje, zapominając o poprzednich. Ostatnim łupem Przysieckiego z takiej wyprawy miłosnej była Jadwiga Kuźmierkówna. Zaszedł przypadkiem do jednego z swych znajomych, ujrzał ją i zwyciężył—venit, vidit, vicit,— lecz ofiara przywiązała się do dziarskiego zdobywcy, oddała mu serce, miłością swą okryła go, chcąc żyć z nim związana, jeżeli już nie węzłami sakramentu, to choćby uczucia. Niestety Przysiecki był zawsze żądny nowych wrażeń, wyruszył więc po nową zdobycz, opuszczając tęskniącą za nim Kuźmierkównę. Gdy ujrzała, iż koniec ma nadejść jej miłości, postanowiła sama usunąć się z tego świata i w tym celu w mieszkaniu swem przy ulicy Lipowej Nr. 8 zażyła trucizny. Szybka pomoc usunęła niebezpieczeństwo, lecz nie usunęła postanowienia Kuźmierkównej. Przed śmiercią tylko chciała zatrzeć wszystkie ślady stosunku swego z Przysieckim, odebrać od niego listy, w których mu swą miłość przedstawiała. W tym też celu udała się do niego, do sklepu, w południe. Co zaszło między nimi, trudno dociec. Znajomy Przysieckiego, który zaszedł wtedy do sklepu, zualazł ich bardzo zmienionych, jakby po gwałtownej dyskusyi. Kuźmierkówna prosiła go, by wyszedł, bo ma osobistą sprawę do Przysieckiego, ten zaś prosił swego znajomego, by pozostał. Chcąc dogodzić obojgu, odwrócił się do nich plecami. Wtedy usłyszał żądanie Kuźmierkównej zwrotu swych listów Przysiecki odmawiał. Naraz rozległo się kilka po sobie następujących strzałów rewolwerowych i Przysiecki padł martwy na ziemię. Dla niej zabrakło już naboi, bo jak potem zeznała i ona chciała się zabić.

Z lwowskiego bruku.

(Proces szpiegowski hr. Zielińskiego. — Zalety i spryt Kryłowa. — Czem należało go zrobić? — Tajność rozprawy. — Cholera we Lwowie, a jej dobre strony. — Czemu powinniśmy prosić o cholerę? — Aresztowanie Czerkawskiego. — Dziennikarz we Lwowie. — Żywot i czyny poczciwego publicysty. — Wędrówki Czerkawskiego. — »Wesoła wdówka« oddaje go prokuratorowi).

Rozpoczął się tydzień od procesu słynnego hr. Zielińskiego, inaczej Kotlarewicza, inaczej Kryłowa, inaczej oszusta pierwszej klasy, który przez długi czas potrafił wodzić za nos ludzi i władze, Austryę i Rosyę, kobiety i szpiclów, a nawet podobno samego namiestnika. Kotlarewicz jest człowiekiem genialnym, i już dla samych jego zdolności dyplomatycznych nie przed sąd karny należałoby go postawić, ale dać mu jakiś piękny i ważny urząd, a byłby z pewnością dokonał wielkich czynów. Wyobrażam sobie, że Zieliński-Kryłow-Kotlarewicz mógłby np. na stanowisku prezesa Koła polskiego w lot rozwiązać najtrudniejsze zagadnienie polityczne i zatkać usta najgadatliwszym politykom, a jako prezydent Lwowa wyprowadziłby tak rzeźników w pole, że do miesiąca mieszkańcy jedliby za darmo mięso na śniadanie, obiad i kolacyę.

Bo bądźcobądź widać w jego czynach jakiś plan, jakąś drogę, jakąś myśl przewodnią — ten człowiek przedewszystkiem umiał myśleć, a tego o naszych wielkich ludziach niestety powiedzieć nie można. Przynajmniej należałoby tak sądzić po ich czynach, a raczej po ich bezczynności. Natomiast u Kryłowa-Kotlarewicza widzimy zastanawiającą przytomność, podejmowanie śmiałych czynów, dyplomacyę pierwszorzędnego sprytu, wykonanie planów śmiałe, mądre, pewne, szybkie. I dlatego Kryłow-Kotlarewicz-Zieliński zasługuje na podziw i szacunek. Nie wiem, czy jego obrońca w ten deseń prowadzić zechce swoje plaidoyer, bo do chwili, kiedy to piszę, proces nie jest ukończony, ale to wiem, że sędziowie zachwycają się szczegółami rozprawy i źle zrobili, zarządzając jej tajność. Niechby taka właśnie rozprawa była jawną i dostępną dla wszystkich, a przedewszystkiem dla naszych działaczy, ażeby się nauczyli sprytu.

Ale wielkie i małe figury skompromitowały się w tej aferze tak gruntownie, że trzeba było koniecznie oświadczyć się za tajnością. Proces Harden-Moltke był jawny, proces Kotlarewicza jest tajny. Bo nasze figury są więcej wstydliwe, niż tamte berlińskie, które otaczały pierścieniem samego cesarza, i może — ważniejsze. Niech im to wyjdzie na zdrowie.

W tych cholerycznych czasach życzenie takie nie jest wcale do pogardzenia. Ta cholera to naprawdę nasze szczęście. Gdyby nie cholera, byłaby nas już dawno porwała cholera. Nie jest to bynajmniej paradoksem, że jedynym środkiem przeciw cholerze jest sama cholera. Zaledwie przyniosą telegramy wieść, że nadciąga cholera, a już magistrat lwowski wzywa mieszkańców do utrzymywania czystości, do zamiatania podwórza, do czesania się i mycia, do usuwania śmiecia i do stu innych rzeczy, które, jakby się zdawało i bez cholery są konieczne dla zdrowia i życia ludzkiego. U nas nie. U nas dopiero potrzeba cholery, ażeby magistrat zaczął myśleć o porządkach. Bez cholery to wszystko jest zbędnym zbytkiem, urojeniem, fantazyą hipochondryków, jednem słowem waryacyą. Ale gdy już cholera stoi za drzwiami i ma wkroczyć do miasta, wtedy prezydyum magistratu drukuje przeciw niej broszury, pisze komunikaty do dzienników, uchwala akcyę ratunkową, kupuje dezynfektory i każe zamiatać ulice. Mamy więc słuszny powód, cieszyć się cholerą i życzyćby tylko wypadało, żeby do nas częściej zaglądała, a wtedy może Lwów nie tak bardzo będzie śmierdział, jak dziś, wczoraj i zawsze.

Poza tem nie wiele miałbym nowego do zanotowania, gdyby nie fakt aresztowania „kolegi“ Czerkawskiego we Wiedniu za jakieś tam drobne wymuszenie kilku tysięcy koron od „baby“, która go napozór kochała, a potem wtrąciła w objęcia prokuratora. Ten pan Czerkawski, znany bardzo dobrze na bruku lwowskim jegomość, uchodził tu przez szereg lat za dziennikarza, choć z dziennikarstwem miał tyle tylko wspólnego, że z prostej litości zaopiekował się nim istotnie zdolny i poczciwy publicysta i wpakował go do jednej z tutejszych redakcyi, w której p. Czerkawski z wielkim talentem prowadził dwie wysoko odpowiedzialne rubryki: „Zmarli“ i „Przyjechali do Lwowa“. Raz spróbował napisać notatkę policyjną, ale ją redaktor jako niewiarygodną odrzucił, bo p. Czerkarski opisał w niej bardzo smutne zajście, z którego jasno wynikało, że pewien złodziej przyaresztował komisarza policyi i odstawił go do sądu. Z takiemi zdolnościami publicystycznemi przebijał się pan Czerkawski przez szare życie i uchodził w szerokich kołach, zwłaszcza artystycznych, za wielkiego dziennikarza, któremu nieraz nawet trzeba było opłacać się sowicie, aby się nie narazić jego pióru. A miał pióro ostre, niczem niepohamowane, nawet zasadami ortografii. Ale zawsze umiał sobie znaleść kolegę, który mu żądaną notatkę „ułożył“ i napisał, a p. Czerkawski przepisywał ją tylko na czysto i puszczał w świat bez błędów. We Lwowie prędko poznano się nietylko na jego tężyźnie, ale i na słabych stronach jego nawyczek, głównie w kierunku naciągania naiwnych ludzi, zwłaszcza młodych artystek, którym przyrzekał wpływem swoim dopomódz do karyery.

Potem wyjechał do Warszawy na gościnne występy w przekonaniu, że tam jeszcze takiego nie widziano, a gdy tam nie zachęcano go do przedłużania gościny, tylko owszem radzono czem prędzej wyjechać, udał się prosto do Wiednia, gdzie wałęsał się parę lat, a nawet ubocznie był korespondentem „Głosu Narodu“, choć w redakcyi tego pisma musieli się dobrze pocić nad przetłómaczeniem jego polskich korespondencyj na język polski. Głównem zaś jego zajęciem była wspomniana wdówka, wesoła wdówka, która posmutniała, gdy od niej Mundzio wytumanił parę tysięcy koron i „wręczyła“ go panu prokuratorowi z prośbą o dalsze zarządzenie. Ten przymknął go tym razem w kozie i zabrał się do rozpatrywania jego dziennikarsko-erotycznych niedrukowanych „artykułów“.

Kl.

Szajka krakowskich włamywaczy:



Piotr Maj. Kazimierz Bandura. Władysław Pawlık. Władysław Maczek. Stefan Piech. Józef Malik.

Szajka krakowskich włamywaczy.

Śledztwo, prowadzone przez policyę krakowską w sprawie głośnego włamania do urzędu pocztowego przy ul. Podwale, gdzie złodzieje zabrali prócz gotówki, także wiele marek, stempli i losów, oddało w ręce władz bezpieczeństwa nietylko sprawców tego ostatniego włamania, ale całą szajkę rzezimieszków, którzy od pewnego czasu operowali po Krakowie. A nie była to szajka pospolita, złożona z żywiołów najniższej kategoryi społecznej; przeciwnie, w skład jej wchodzili młodzi ludzie, mający zapewniony kawałek chleba i pewne wykształcenie.

„Starszym“ krakowskiego cechu włamywaczy był 20-letni czeladnik ślusarski, Stefan Piech; on rozdzielał role swoim podkomendnym, dobierając ich kolejno do pomocy w swych złodziejskich wyprawach. Tymi podkomendnymi byli: Władysław Maczek, 19-letni praktykant monterski, Józef Malik, lat 20, prywatny rysownik, Piotr Maj, 17-letni czeladnik ślusarski, Władysław Pawlik, były gimnazyalista i Kazimierz Bandura, ucz. III r. wydziału mechanicznego w krakowskiej szkole przemysłowej.

Jak wykazało śledztwo, Piech et Co. dopuścili się w niedługim stosunkowo okresie czasu włamania do Banku chrześcijańskiego, do tow. kredytowego rękodzielników i przemysłowców, do bufetu teatralnego, do handlów p. Ogieńskiego i p. Nikla, do paru mieszkań prywatnych, a ostatnio do urzędu pocztowego na Podwalu.

Wedle zeznań uwięzionych rzezimieszków, cel ich wypraw miał podkład do pewnego stopnia „ideowy“. Chcieli oni mianowicie tą drogą zebrać fundusze na dalsze kształcenie się za granicą. Plany te uniemożliwiła jednak policya przez ujęcie ich i osadzenie w aresztach, w czem główna zasługa komisarza p. Krupińskiego i insp. p. Br. Karcza.

Powodzie we Włoszech.

Żadnego kraju nie nawiedzają tak często klęski żywiołowe, jak Włochy. Po strasznych wybuchach Wezuwiusza, po trzęsieniach ziemi, obecnie powódź zatapia miasta całe, niwecząc dzieła rąk ludzkich, pustosząc pola winnicowe. Skutkiem ulewnych deszczów wezbrały wszystkie rzeki w okolicach Wenecyi. Pod Piacenzą wystąpiła z swych brzegów rzeka Po i zalała niżej położone części miasta. Tego samego losu doznały i Vicencia, Schio i Thiene, między którémi komunikacya została przerwana na całych przestrzeniach. Najgorzej jednak ucierpiała miejscowość Pallanza, położona nad Lago Maggiore, która stała się teraz drugą Wenecyą. Miasto zostało zupełnie pokryte wodą na kilka stóp wysoko, tak iż z jednego domu do drugiego mieszkańcy muszą przeprawiać się na łodziach; place wyglądają jak małe jeziora. Straty, spowodowane tymi wylewami są ogromne, szczęściem jednak niema ofiar z życia ludzkiego.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożył Wł. Buzawa Schoen, Niepołomice.

I.

Głoska na przedzie,
Reszta kieruje:
To rządy wiedzie,
To wodę pruje.
A razem obie
Są kwiatkiem sobie.

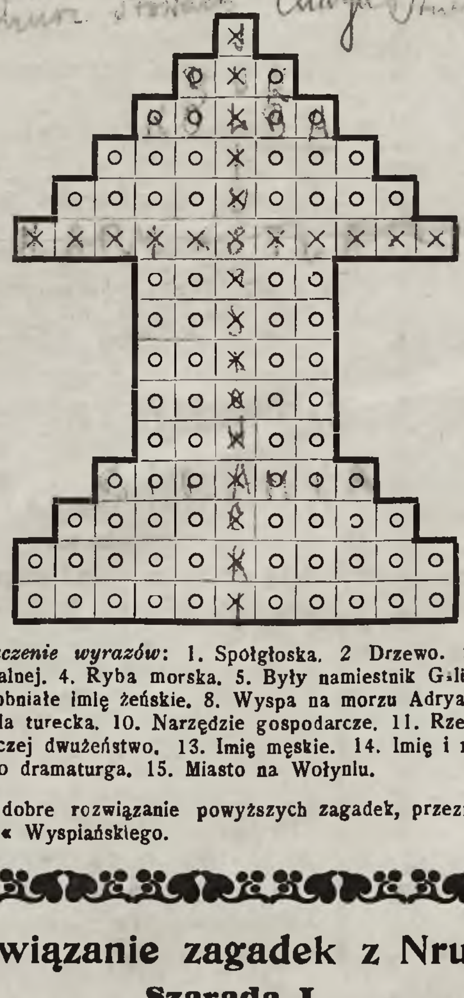
II.

Pierwsze na ustach, gdy czego nie chcecie;
Przyimkiem *drugie* i *trzecie* nazwiecie.
Trzecie z piątem dodając: oj, biedna!
Skarży się ojciec i matka niejedna.
A *czwarte z pierwszem* w powietrzu się plączą,
To mile pieszczą, to truciznę sączą.
Szóste — końcówka, między przyrostkami,
A *całość* nieraz stanowimy sami.

Logogryf.

Ułożył S. Spunda ze Skały.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by krzyżyki czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko poety polskiego, zaś krzyżyki w szóstym rzędzie dadzą tytuł dramatu tegoż poety.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Drzewo. 3. Część broni palnej. 4. Ryba morska. 5. Były namiestnik Galicyi. 6. ? 7. Zdrobniałe imię żeńskie. 8. Wyspa na morzu Adryatyckiem. 9. Szabla turecka. 10. Narzędzie gospodarcze. 11. Rzemieślnik. 12. Inaczej dwużeństwo. 13. Imię męskie. 14. Imię i nazwisko słynnego dramaturga. 15. Miasto na Wołyniu.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek, przeznaczamy »Wesele« Wyspiańskiego.

Rozwiązanie zagadek z Nru 42

Szarada I.

Flammarion.

Szarada II.

Na bezrybiu i rak rybą.

Arytmogryf.

Zygmunt August.

Łamigłówka.

Batów, gnom, kot.

Kwadrat magiczny.

Atena, baran, erato, natan, anons.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: P. Persowski Krosno, S. Jarociński Zürich, W. Samborski Kraków, M. M. Pikułowice, L. Wywiórek Sucha, B. Ramułtowa Jeżów, K. Jabłoński Stanisławów, W. Dziewiński Kraków, R. Jaworski Lwów, A. Rodek Cieszyn, L. Ptaszewski Tarnów, L. Bojukowa Bełz, J. Dickmanowa Pilzno, F. Michalski Kraków, K. Fuchs Czeremchów, K. Dąbrowski Kraków, R. Hodek Krosno, C. Pieniążek Zürich, Z. Furko Kraków, K. Jasiński Kraków, E. Bogdalska Koropuż, F. Niepokój Krosno, A. Góyska Bolechów, M. Rożański Libusza, I. Dik Andrychów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. I. Dik, Andrychów; prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Z półek księgarskich.

»Kosmetyki« warszawskiej nr. 42 ukazał się i zawiera początek pracy dra Lustra, specyalisty lekarskiej kosmetyki i chorób włosów o »przyczynach przedwczesnego łysienia«, uwagi na temat szczepienia ochronnego przeciw ospie, artykuł dra A. D. o leczniczej i kosmetycznej wartości róż, z uwzględnieniem przepisów na preparaty kosmetyczne do pielęgnowania cery twarzy i rąk.

Liczne odpowiedzi Redakcyi i ogłoszenia pierwszorzędnych firm, uzupełniają cenne wskazówki z zakresu hygieny piękności.

Prenumeratę przyjmują księgarnie i biura czasopism.

Kalendarz Towarzystwa Szkoły Ludowej.

Niedawno pisaliśmy na tem miejscu o kalendarzach Steinbrennera, przestrzegając, zwłaszcza ludność włościańską i robotniczą przed nabywaniem i rozszerzaniem tej niemieckiej lichoty. Obecnie notujemy fakt istotnie doniosly, że do walki z tym niemieckim towarem, przeznaczonym na to, aby zatruć i ogłupiać polską duszę naszego ludu i warstw robotniczych, wystąpiło w obronie najżywotniejszych interesów narodowych i ekonomicznych oraz w imię zagrożonej oświaty ludowej najpoważniejsza nasza organizacya oświatowa — Towarzystwo Szkoły Ludowej.

Pierwszy kalendarz T. S. L. na r. 1908, który świeżo opuścił prasę, jest niewątpliwie najdzielniejszym środkiem wyrugowania z kraju Steinbrennerowskich kalendarzy. Sama firma nakładcy, którym jest Towarzystwo pracujące od szeregu lat niezmordowanie na zaniedbanem przedtem polu oświaty ludowej, stanowi już dostateczną rękojmię, że kalendarz T. S. L. w sposób możliwie najdoskonalszy odpowie potrzebom szerokich warstw naszego społeczeństwa

W tym kierunku kalendarz T. S. L. przeszedł najśmielsze nawet oczekiwania. Na samym wstępie, we właściwej części kalendarzowej, spotykamy starannie zebrane stare przysłowia i przepowiednie ludowe na każdy miesiąc roku oraz ze znajomością rzeczy ułożony kalendarz gospodarski, a wreszcie wyczerpujący kalendarz rocznic narodowych Ze względu na brak miejsca, niepodobna szczegółowo omawiać bogatej części literackiej, obejmującej kilkanaście arkuszy druku. Wymieniamy tu tylko nazwiska Wł. Bełzy, Z Miłkowskiego (T. T. Jeża), Bronisławy Ostrowskiej, Maryli Wolskiej i w. i.

Jakże marnie wyglądają wobec utworu Bełzy p. t. »Święte Wzory«, albo prześlicznej »Adoracyi« i »Zwiastowania« Ostrowskiej, marne wierszydła z niemieckich kalendarzy Steinbrennera!

W poważnej części naukowej i społecznej zamieścili swoje prace adw. dr. Caro, dr. Goliński, dr. Kumaniecki, prof. dr. Kutrzeba, dr. Stępowski, dr. Surzycki i w. i.

Część literacką zamyka artykuł dr. K. Ostrowskiego o działalności i zadaniach Tow. Szkoły Ludowej, oraz szematyzm, przedstawiający rozwój Towarzystwa.

W obszernej części informacyjnej wprowadzono nowość, którą witamy z prawdziwem uznaniem. Jest to »Poradnik dla włościan«, oparty na materyałach dostarczonych przez Wydział Krajowy, a obejmujący niezbędne wiadomości o zakładaniu Spółek i Kas Oszczędności syst. Reiffaisena, Spółek mleczarskich, o melioracyacyach rolnych, pożyczkach rentowych, wreszcie o radach sierocych i opiekuńczych.

Zaznaczyć wreszcie należy, że kalendarz Tow. Szkoły Ludowej jest ze względu na niezwykłą ilość ogłoszeń firm krajowych, dokładną księgą adresową, która zarówno kupcom i przemysłowcom naszym, jakoteż i ogółowi odbiorców oddać może znakomite usługi.

Na osobną wzmiankę zasługuje wysoce artystyczna zewnętrzna strona kalendarza i ozdobny układ drukarski, jakiego pozazdrościćby mogło kalendarzowi Tow. Szkoły Ludowej niejedno artystyczne wydawnictwo. Barwną okładkę, utrzymaną w rodzimym stylu ludowym i ozdoby drukarskie w tekście rysowała art.-malarka A. Gramatyka Ostrowska. Kalendarz zdobią nadto liczne ryciny i kolorowe tablice, odtwarzające widoki królewskiego zamku na Wawelu i obraz Chełmońskiego »Racławice«.

Nie wątpimy, że kalendarz T. S. L. znajdzie się w każdym domu polskim, jednając nowych zwolenników ideałom T. S. L. i pomnażając »grosz na szkoły ludowe«, które Towarzystwo to zakłada i utrzymuje.

Cały dochód ze sprzedaży przeznaczony jest na cele oświatowe T. S. L.

